M.B. im. L. W. u Ł.

W numerze: MARIAN PIECHAL *Poeta kwiatów zła i dobra* ● JERZY WILMAŃSKI *Sesja w kuźni* ● ANDRZEJ BARBUS *„Nasze szaleństwo" czyli jak się doi naiwnych* ● ROMAN ŁOBODA *„Zielone rękawice" w dobrym gatunku* ● *Konkurs* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela*

odgłosu

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

11. X. 1970 r.
41 (673)
Cena 1,50 zł

Fot.: W. Parys

ANDRZEJ GRUN

Zabytkom na pomoc

NIE mieliśmy nigdy szczęścia do zabytków. Najpierw podstawowym budulcem było drewno (kamień i cegła były domeną Południa i w naszym budownictwie pojawiają się stosunkowo późno), a więc materiał tyle efektowny co nietrwały. No i wojny. Wojny pustoszące raz po raz kraj i wyniszczające potencjał ludzki. „Potop" szwedzkiego żołdactwa (1655—1657) wyszkolonego w grabieży podczas wojny trzydziestoletniej z Niemcami uczynił z Rzeczypospolitej kulturalną pustynię. To, czego nie udało się konkwistadorom Północy złupić i wywieźć, obracali w perzynę. Akurat proch stał się w Europie materiałem powszechnie dostępnym, korzystali więc z niego Szwedzi do woli, wysadzając co się tylko dało w powietrze — stąd tak mało zachowanych okazów architektury przedbarokowej (z większych miast dawnej Rzeczypospolitej ocalały tylko wtedy Lwów i Gdańsk). Potem były wojny przedrozbiorowe, w czasie których okradano nas na wszystkie możliwe strony i sposoby, rabowano bezlitośnie. Były rozbiory. Wreszcie ukoronowanie barbarzyńskich grabieży — lata II wojny. Straty, jakie nasze dobra narodowe poniosły w tych latach są ogromne, bolesne, a co najważniejsze, niestety, nieodwracalne.

Jednym z pierwszych rozporządzeń ludowego rządu była ustawa o ochronie zabytków kultury na ziemiach polskich. Następnie powołano urzędy miejskich i wojewódzkich konserwatorów, utworzono na kilku uniwersytetach (Toruń, Warszawa, Kraków, Poznań) katedry konserwacji zabytków oraz utworzono pracownie konserwacji w miastach wojewódzkich i przy niektórych muzeach. W latach pięćdziesiątych rozpoczęte zostały z inicjatywy Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk prace nad sporzą-

Dalszy ciąg na str. 3

Zapiski rosyjskie cz. II

MAREK WAWRZKIEWICZ

„Zakochać się w Leningradzie"

Zakochać się w Leningradzie... Najpierw wydaje się, że to niemożliwe, że to po prostu jeden z mitów, który na co dzień tworzą podróżnicy, globtroterzy, którzy kiedyś tam, gdzieś tam coś przeżyli. Potem opowieść podbarwia wspomnienie, szare kolory jaśnieją, z migawkowych, przelotnych wspomnień tworzy się koncentrat — ot i mit gotów. Zakochać się w Leningradzie... Jakże to możliwe? Wszystko tu jest niskie, płaskie. Płaska równina, nie wysoko zabudowane miasto, nawet niebo wisi nad nim nisko. Niebo — nieprzychylne dla przybysza, częstujące go co chwilę ulewą. Tubylcy nie przejmują się tym: „normalny, leningradzki deszczyk"... Nie wszyscy nawet chronią się pod parasolami, statecznym krokiem przemierzają ulice. Kiedy jest trochę pogody, kiedy zniknie wilgoć, wiatr („normalny leningradzki") sypie w oczy, we włosy dokuczliwym kurzem. Newa jest brązowo-szara, ten sam wiatr pogania na niej krótką, martwą falę. Niekiedy trzeba przez dłuższy czas wpatrywać się w rzekę, aby się zorientować, w którą stronę płynie. Po tamtej stronie, obok zakotwiczonego, znajomego okrętu nieopodal „Aurory", wznosi się wyżej ponad kilkupiętrowe budynki wielki gmach budowanego obecnie hotelu „Leningrad". A reszta — nisko, płasko, przy ziemi. Zielone, szaro-błękitne, szaro-żółte płaszczyzny ścian, białe ramy okien. Bulwary. Mostki. Nadbrzeża Newy, Newki, Fontanki i tylu jeszcze leningradzkich rzek. Zieleń parków i skwerków. Senny nieco ruch uliczny. I przestrzenie. Czym pojedziemy? Daleko do ciebie? — pytam mojego leningradzkiego przyjaciela, młodego poetę Wiktora Maksimowa. — Pójdziemy pieszo. To niedaleko — odpowiada. Po czym wyciągniętym marszem przemierzamy 6 kilometrów.

Rzadziej na ulicach. Nie ma tu tego piekielnego moskiewskiego ruchu. Spokojniej. Senniej. „Wielka metropolia z powiatowym losem" — mówi mi ktoś o swoim mieście. Tak, wszystko tu jest drugie. Druga jakość artystyczna teatrów. Drugie środowisko artystyczne. Druga liga w piłce nożnej. Drugie miasto w Związku Radzieckim. Drugie? A może trzecie, czwarte? ironizują nie bez bólu leningradczycy.

Ciszej. Senniej. Spokojniej. Jak się zakochać w Leningradzie?

* * *

Niedziela. W odległym o niecałą godzinę jazdy (nieludzko zatłoczonym, podmiejskim pociągiem elektrycznym) Peterhoffie odbywa się doroczne „święto literatury". Na kilkunastu rozsianych w olbrzymim parku estradach, pośród niezliczonej ilości fontan i kaskad występuje prawie 60-ciu leningradzkich poetów i prozaików. Po czterech, po pięciu, po sześciu, starzy i młodzi — ale panuje ten sam podniosły nastrój, wszędzie ten sam modny, patetyczny ton recytacji i wypowiedzi. Samo południe, dwunasta. Organizatorzy skrzywieni, tłumaczą że się „prazdnik" w tym roku nie udał, wszystkiemu winna pogoda. Istotnie, jak na okolice Leningradu — tropik, żar

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Kiedy poprzedni numer „Odgłosów" był już w druku — wszystkie kontynenty obiegła wiadomość o nagłej śmierci prezydenta Nasera. Zatrwożyła ona nie tylko świat arabski, równocześnie bowiem postawiła na porządku dnia pytanie: jak odejście tego wybitnego polityka, autentycznego przywódcy narodu arabskiego wpłynie na dalszy bieg bliskowschodnich wydarzeń? Odszedł przecież człowiek, który obudził godność narodową Arabów, torował drogę do ich politycznej i ekonomicznej niepodległości, zdołał przeciwstawić się agresji Izraela i niwelować jej skutki, a ostatnio z rozsądkiem męża stanu, czującego się w pełni odpowiedzialnym za światowe następstwa konfliktu, aktywnie opowiadał się za jego politycznym, a więc pokojowym rozstrzygnięciem.

Pogrzeb prez. Nasera, przyjazd nań czołowych w świecie politycznym osobistości, a w tej liczbie premiera Kosygina, udział w 2-dobowych obrzędach pożegnalnych 4 milionów Egipcjan, wybuchy rozpaczy, ale też zacisnięte pięści oraz okrzyki. „Dajan, nie ciesz się, Naser jest ciągle na polu walki" — wszystko to świadczy o wielkości dzieła, którego dokonał Naser.

Teraz, kiedy rozpacz po śmierci ustępuje miejsca problemom codzienności, najczęściej powtarzają się pytania: jaki będzie naseryzm bez Nasera, kto zastąpi go na prezydenckim fotelu, kto przejmie przywództwo w świecie arabskim?

Na żadne z nich nie można jeszcze odpowiedzieć, nawet na to najprostsze: kto zostanie głową państwa, prezyaentem ZRA. Nowy prezydent, zgodnie z konstytucją z 1964 roku, musi uzyskać nominację 66 proc. Zgromadzenia Narodowego, a następnie potwierdzenie w powszechnym referendum. Jeśli to nie zaakceptuje wyboru Zgromadzenia, konieczne jest wysunięcie innej kandydatury. Mimo to spekulacje mnożą się z każdym dniem. El Sadat, który objął funkcję tymczasowego prezydenta, Ali Sabri — bliski współpracownik Nasera od wielu lat, Fawzi — minister wojny, el Boghdady — swego czasu bliski współtowarzysz zmarłego prezydenta, Hajkal, którego często nazywano „cieniem Nasera", czy jeszcze ktoś inny? Przypuszcza się wszakże, że następca Nasera wyjdzie bądź z armii, bądź z arabskiej unii socjalistycznej i upłynie co najmniej 40—60 dni zanim nazwisko to wyłoni się na widowni politycznej.

W prasie zachodniej podkreśla się, że jedną z cech rządów naserskich było, iż wszystkie kluczowe stanowiska znajdowały się w rękach ludzi o tym samym wieku i wywodzących się z tej samej formacji. Spośród nich też wybrany zostanie następca. Ile w tych domniemaniach racji — wykaże czas. Dziś z całą pewnością stwierdzić można tylko jedno: ZRA chce kontynuować dzieło Nasera, taką wolę zademonstrował naród, żegnając swego przywódcę.

★

W Nowym Jorku toczą się obrady jubileuszowej, bo XXV sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Przedwcześnie oczywiście na jakieś konkretne rozważania. Można jednak, jak chcemy to właśnie uczynić, podzielić się pewnymi spostrzeżeniami.

Zwraca zwłaszcza uwagę wstęp do raportu z działalności ONZ, jaki tradycyjnie składa sekretarz generalny. Mocno, jak nigdy dotąd, akcentuje on bowiem postępy, dokonane w Europie w dziedzinie odprężenia. Znalazła się tam ocena układu ZSRR — NRF, wyakcentowany został rozwój dwu i wielostronnych kontaktów, mających na celu rozwój współpracy, podkreślono wysiłki, zmierzające do zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji.

Raport U Thanta eksponuje także tematykę rozbrojeniową. Pomyślnie i z nadzieją ocenia rozmowy przedstawiciel ZSRR i USA (w Helsinkach i Wiedniu) na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych, nawołuje do przyjęcia projektu konwencji w sprawie częściowego militarnego zneutralizowania dna morskiego, postuluje powszechną ratyfikację protokołu genewskiego o zakazie stosowania broni chemicznej i bakteriologicznej oraz nalega na przyspieszenie ratyfikacji układu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej.

Wreszcie podkreślić trzeba i to, że wstęp do raportu U Thanta poświęca wiele miejsca strategii globalnego rozwoju gospodarczego i współpracy na tym polu różnych krajów.

I właśnie wokół tych problemów toczy się dyskusja. Stwierdzenie to nie oznacza jednak, że w czasie dyskusji nie są podejmowane tak zasadnicze obecnie problemy, jak zakończenie agresji USA w Wietnamie, czy też pokojowe rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego.

Poddawana jest także krytyce działalność ONZ w ćwierćwieczu jej istnienia. Podkreśla się, iż na 56 wojen, które miały miejsce w tym czasie (chodzi tu zarówno o wojny między państwami, jak też walki wewnętrzne) tylko w sześciu ONZ odegrała rolę, przewidzianą jej kartą.

Ale dyskusja jest zaledwie u progu i na rozważania na temat jej dominant jest jeszcze zbyt wcześnie. Trudno także — bez ryzyka błędu — powiedzieć, co przeważa w rozmowach kuluarowych.
A te często wiele znaczą.

W. SŁAWSKI

● *Zewsząd o wszystkim* ● *Zewsząd o wszystkim* ●

Zabawa w arkę Noego...

„GUARDIAN" — MANCHESTER

Po dość długim namyśle rząd Turcji odmówił ekspedycji amerykańskiej pozwolenia na kontynuowanie „poszukiwań szczątków arki Noego" na Górze Ararat. Oficjalnie ekspedycję finansuje waszyngtońska kompania Research Foundation i Arktyczny Instytut Północnej Ameryki. Jak mówi kierownik ekspedycji, Ralph Lanton, celem wyprawy jest dokładne zbadanie terenu, na którym w 1955 roku, Francuz Fernand Navarra, znalazł ponoć resztki biblijnej arki.

Do Istambułu przywieziono już nawet sprzęt, niezbędny do podjęcia tego rodzaju poszukiwań naukowych, gdy przedstawiciel tureckiego ministerstwa spraw wewnętrznych podał do wiadomości, iż Amerykanów postanowiono nie puszczać na Ararat. Powód: „względy bezpieczeństwa".

Rejon poszukiwań leży w pobliżu granicy turecko-rosyjskiej i decyzja Ankary ma z pewnością uzasadnienie polityczne. Po prostu zdają sobie tam sprawę z politycznych, a również i innych, aspektów zagadkowych prac poszukiwawczych na Araracie (wysokość: 5165 m — red.), prowadzonych przez różne zagraniczne ekspedycje.

Były szef tureckiego wywiadu, admirał w stanie spoczynku, Sezai Orkunt, pisał na ten temat w jednej z lokalnych gazet: „Nadszedł czas, aby położyć wreszcie kres tej zabawie w poszukiwanie arki Noego. Takie penetracje zagranicznych ekspedycji w rejonie graniczącym ze Związkiem Radzieckim, nie mogą nie wywołać tam zaniepokojenia". Jak utrzymuje admirał, istnieje całkiem uzasadnione podejrzenie, iż w ekspedycjach na Ararat bierze również udział CIA.

Ze szczytu Araratu doskonale widać rosyjskie miasta: Kirovabad i Leninakan i Rosjanom na pewno nie przypadłyby do serca takie „biblijne poszukiwania". I właśnie z tych powodów ekspedycję załatwiono odmownie.

Nikt się chyba specjalnie nie zdziwi, jeśli na przykład jutro jakaś waszyngtońska kompania rozpocznie poszukiwania mitycznego kielicha Graal, powołując się przy tym na „pewne źródła", wedle których widziano go ostatnio „gdzieś za Uralem"...

Nie tylko reklama

„NEWSWEEK" — NOWY JORK

Czy wyłącznie reklamę ma na celu „Ford", wypożyczając członkom Kongresu USA luksusowe limuzyny „Lincoln-Continental", i to w dodatku po jednej piątej ceny, jaką muszą za to płacić zwykli śmiertelnicy? Sprawa ta nabrała sporego rozgłosu kilka dni temu, kiedy to agencja prasowa UPI, poinformowała opinię publiczną, iż co najmniej 19 wpływowych członków Kongresu rozjeżdża po stolicy USA samochodami, za co płaci zaledwie po 750 dolarów rocznie...

Gdy wokół tego podniósł się szum, republikanin Ch. Staggers, przewodniczący jednej z komisji Izby Reprezentantów, natychmiast zrezygnował ze swojego „Lincolna". Jednakże dotąd nikt nie poszedł za jego przykładem.

Podobne usługi kompanii samochodowych nie należą do rzadkości. Związki Białego Domu z „Fordem" datują się już od czasów Calvina Coolidge'a (prezydenta USA w latach 1923—1929), który wymienił swój stary samochód na „Lincolna". Także firmy „General Motors" i „Chrysler" oddawały od czasu do czasu, do dyspozycji wyższych urzędników państwowych swoje „Cadillaki" i „Imperiale".

Jeśli chodzi o waszyngtońskie biura „Forda", to — jak utrzymują biznesmeni — odpłatne wypożyczanie kongresmanom samochodów na zasadzie zawierania umów, świadczy tylko o nieprzeciętnej obrotności handlowej zatrudnionych tam pracowników. W wyniku tych zabiegów — dodaje przedstawiciel Forda — samochody prestiżowych marek idą na rynku w Waszyngtonie znacznie lepiej, niż gdziekolwiek indziej w kraju...

Pozostaje problem delikatnie mówiąc, etyki podobnych umów, bowiem przynoszą one określone korzyści, zwłaszcza w sondowaniu reakcji wyborców, która żywo interesuje kompanie samochodowe w związku ze zbliżającymi się wyborami. I tak, dopóki kongresmani tylko reklamują wciąż nowe modele samochodów, wyborcy mogą się czuć po prostu zawstydzeni swymi „wybrańcami". Ale jeśli prawodawcy — ulegając naturalnym uczuciom wdzięczności — próbują spłacić swój maleńki dług kompaniom, udzielając im przeróżnych ulg, albo tolerując to i owo, wówczas wyborcy są oburzeni. Poznanie tych reakcji może mieć znaczenie praktyczne.

Na arktycznym safari

„QUICK" — MONACHIUM

Helikopter leci tuż nad białą pustynią Oceanu Lodowatego. Wydaje się, że w tym królestwie odwiecznej ciszy wszystko zamarło. Ale to tylko pozór, bo oto jakieś sto metrów przed nami, w miejscu, gdzie lód utworzył dość spory garb, coś się poruszyło. Ludzie! Nieco dalej — ich ofiara: biały niedźwiedź. Przerażony warkotem silnika podnosi głowę, wstaje szybko i najwyraźniej zbiera się do ucieczki...

Z helikoptera nie słychać odgłosów strzałów, ale za to doskonale widać, jak jeden z myśliwych triumfalnie wymachuje strzelbą — trafiony niedźwiedź biegnie jeszcze trochę i wali się na bok...

Rabunkowe trzebienie zwierząt polarnych, a zwłaszcza białych niedźwiedzi, przybiera coraz groźniejsze rozmiary. I nic dziwnego. Prospekty przeróżnych biur podróży zachęcają turystów do brania udziału w „arktycznym safari", obiecując atrakcyjne trofeum w postaci skóry białego niedźwiedzia"...

Istnieje realne niebezpieczeństwo, że już niedługo tego mieszkańca śnieżnych pustkowi Arktyki będzie można oglądać tylko w ogrodach zoologicznych. We dług statystyk zachodnioniemieckich kilka lat temu na Arktyce żyło około 10 tysięcy białych niedźwiedzi. W roku 1968 zabito 1250 sztuk niedźwiedzi, w roku 1969 — 1500 sztuk, a w tym roku już ponad dwa tysiące. Jeśli tak dalej pójdzie...

Dyplomacja z pozycji siły...

„GUARDIAN" — LONDYN

Anglia i Stany Zjednoczone demonstrują siłę militarną we wschodniej części Morza Śródziemnego, najwidoczniej po to, aby okazać dyplomtyczne poparcie rządowi króla Husajna.

Dwa wielkie lotniskowce amerykańskie VI Floty: „Saratoga" i „Independence" zostały skierowane do tego rejonu Morza Śródziemnego i prawdopodobnie krążą u brzegów Izraela i Libanu. Okręty, wspomagające oba lotniskowce, także znajdują się w pobliżu. Wkrótce przyłączy się do nich okręt flagowy oraz krążownik rakietowy „Springfield".

Na okrętach VI Floty znajdują się oddziały piechoty morskiej, liczące 1500 ludzi. Mogą być one użyte, gdyby to było konieczne, do desantu spadochronowego lub z helikopterów. Dalszych 1100 żołnierzy przybędzie jeszcze na lotniskowcu „Guam".

Anglia skierowała na Cypr okręt desantowy „Albion", na którym przybyły wojska desantowo-dywersyjne piechoty morskiej. Zostały one wysadzone na ląd w pobliżu bazy sił lądowych w Dekalii. Brytyjski rzecznik wojskowy na Cyprze potwierdził przybycie lotniskowca, jednakże podkreślił, iż transport żołnierzy królewskiej piechoty morskiej z Singapuru na Cypr jest częścią ogólnych ćwiczeń wojskowych, które zaplanowano „dużo wcześniej".

W Jordanii przebywa 400 obywateli amerykańskich i 160 brytyjskich. Liczby te obejmują również pracowników ambasad i ich rodziny. Z oświadczenia wynika, iż celem manewru okrętów amerykańskich jest gotowość do przeprowadzenia, w każdej chwili, ewakuacji Amerykanów z terenów objętych walkami. Również w związku z tym dowództwo amerykańskich sił powietrznych skierowało do baz w Grecji i Turcji samoloty transportowe „Herkules".

Dyscyplina w tabletkach

„CHICAGO SUN-TIMES" — CHICAGO

Wystąpienie demokraty ze stanu New Jersey, Corneliusa Gallachera, w Izbie Reprezentantów Kongresu USA, wywarło wrażenie podobne do uderzenia pioruna. „W Omaha, przy pomocy leków — utrzymywał kongresman — lekarze usiłują zmusić uczniów do bezwzględnego posłuszeństwa".

Powodem wystąpienia kongresmana była informacja, zamieszczona w piśmie „Washington Post", iż w Omaha (stan Nebraska), od trzech do sześciu tysięcy uczniów zażywa tabletki od „sprawowania", które rzekomo pozwalają wzmocnić dyscyplinę w szkole oraz wpływają dodatnio na postępy w nauce.

Jak się okazało, stosowanie tych „leków" na wielką skalę rozpoczęto w grudniu 1968 roku, kiedy to dr Byron Oberst z Omaho dowiedział się o istnieniu „wyjątkowo efektywnych" tabletek uspokajających. Powiadomił o tym swych kolegów i nauczycieli. Wkrótce powstała miejscowa organizacja, która rozpoczęła popularyzację tych „leków" hamujących... przyrodzoną ruchliwość dzieci.

Stosowanie „leków" zaniepokoiło wielu rodziców. Missis Thornton, na przykład, jest zaniepokojona, że „jej 10-letni syn przyzwyczaił się do tabletek i w przyszłości bez żadnych oporów będzie zażywał inne. A przecież nie ma pigułek na szczęście w życiu".

Rzeczywiście — nie ma...

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś na pierwszej stronie kolejne zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowa?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Łódź, „Odgłosy", Piotrkowska 96 — tylko na kartkach pocztowych. Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi można nadsyłać co tydzień.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

I nagroda — 1500 zł
II nagroda — 1000 zł
III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

Zabytkom na pomoc

Dalszy ciąg ze str. 1

dzeniem naukowego wykazu naszych zabytków. Znalazły one swoją dokumentację w „Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce", którego pierwszy numer ukazał się w roku 1953 opatrzony obszerną przedmową inicjatora całej akcji, prof. Juliusza Starzyńskiego. Profesor Starzyński powołuje się tam na tradycję badań rozpoczętych przez historyków sztuki w latach dwudziestych, przypominając jednocześnie, że badania wtedy prowadzone były fragmentaryczne, zarówno z powodu braku fachowców jak i odpowiednich funduszy. Niemniej dzięki tym właśnie badaniom dysponujemy dziś materiałem faktograficznym (skromnym, bo skromnym), dotyczącym wielu zniszczonych bezpowrotnie lub zrabowanych dzieł sztuki architektury. Do chwili obecnej ukazało się 116 zeszytów katalogu — prace nad spisem trwają nadal.

Wiek XIX określił pojęcie „zabytku" w sposób równie wąski, co nieprecyzyjny. „Zabytkiem" było zwykle to, co stare: zamki i pałace, kościoły i obrazy — im starsze tym większą wartość posiadające. Stąd często dokumentacje i opisy doskonałych nawet historyków sztuki i kultury pomijały wiele cennych obiektów i przedmiotów, które w powyższej definicji się nie mieściły. Takie pojmowanie „zabytku" jest dziś oczywistym anachronizmem. Człowiek dnia dzisiejszego musi ochraniać, otaczać opieką wiele rzeczy. Jeszcze więcej do zabezpieczenia będzie miał człowiek jutra. Ustawa o ochronie dóbr kultury modyfikuje samo pojęcie zabytku i rozszerza jego zakres. Czytamy tam, że w poczet dóbr narodowych zaliczyć należy i otoczyć opieką również:

„...założenia urbanistyczne miast i osiedli, cmentarze, pola bitew, miejsca upamiętnione walkami o niepodległość i sprawiedliwość społeczną, budowle mające znaczenie dla historii budownictwa, warsztaty, maszyny, narzędzia wiążące się z ważnymi etapami postępu technicznego itd. itd.".

Strzemiński swojego czasu pisał, że „obrazem plastycznym" — a miał na myśli między innymi zabytki — można o wiele głębiej i treściwiej unaocznić procesy historyczne, charakter i ducha epoki, przemiany społeczne i gospodarcze.

Analiza dokumentów przeszłości pozwala na wnikliwe i wszechstronne, a przy tym obiektywne rozpatrywanie procesów rozwoju działań ludzkich.

Jesteśmy mieszkańcami dziwnego miasta, miasta, które w szerokiej opinii samych jego mieszkańców pozbawione jest zabytków architektury, posiadającej istotne wartości artystyczne. Miasta, które zyskało sobie smutną opinię brzydkiego skupiska kompilacyjnych, eklektycznych budowli. Więcej — architektura tego miasta w pewnym okresie cieszyła się specjalną niełaską z racji swego magnacko-burżuazyjnego pochodzenia. Co za niesprawiedliwość, co za paradoksy. Tym smutniejsze, że opinie te i stanowiska miasto odczuło boleśnie, przybierały one bowiem niejednokrotnie wyraz realny, choćby w osławionym „remoncie" ulicy Piotrkowskiej. Czas, abyśmy zdali sobie wreszcie sprawę i to wszyscy — wielcy i mali — że Łódź jest miastem zabytkowym. Nie tylko w skali krajowej, ale i w szerszym zakresie. Jest skupiskiem autentycznych budowli, stanowiących ważny dokument historyczny i kulturowy. Architektura — jaką znajdujemy w Łodzi — klasycyzm, eklektyzm, secesja, historyzm, modernizm, konstruktywizm, budowle przemysłowe o elementach wziętych z architektury obronnej — stanowi ważne ogniwo w historii naszego budownictwa w ogóle, a budownictwa przemysłowego w szczególności. Ponadto na Łodzi zatrzymała się architektura secesyjna — dalej na północ nie odnajdziemy jej śladu w takiej formie i w takim nasileniu. Przed wojną była ulica Marszałkowska — pozostało po niej trochę zdjęć, rysunków w tekach malarzy, garść wspomnień, rozsianych tu i ówdzie po różnych utworach literackich. Dziś jest tylko Piotrkowska — jedyna taka ulica w Polsce... Okaleczona „remontami", zeszpecona usługowym parterem projektowanym z reguły „sobie" — bez uwagi na całość i charakter budynku, pozbawiona wielu ozdób, sztukaterii i gzymsów, często nieodpowiednio skoloryzowana — ale jest. Jedyna, ostatnia...

Z architekturą Łodzi wiążą się jeszcze inne, ważne sprawy. W 1820 roku miasto zostało zaliczone do rzędu miast przemysłowych, było głównym ośrodkiem sukienników i płócienników, miejscem budowy pierwszych manufaktur. Tu formowała się siła napędowa lat późniejszych — proletariat. Tamtą historię, historię lat wyzysku, walki, strajków odczytać można z architektury. Dzieje łódzkiego proletariatu są nierozerwalnie związane z łódzką ulicą. Łódź jest miastem przemysłowym i tradycje te i wszystkie związane z nią obiekty i pamiątki są dla niej święte.

Opowiadał mi obecny konserwator zabytków m. Łodzi, mgr Antoni Szram, o reakcji przechodniów z jaką spotkał się oznakowując wybrane budynki tablicami informującymi, iż są one zabytkami architektury i podlegają ochronie. Reakcje były zawsze takie same — zdziwienie i niedowierzanie, że jakiś Scheibler, że jakaś tkalnia, że jakiś browar, jakieś jatki Marconiego, fragment ulicy Moniuszki — to zabytki. Niestety, nieświadomość tego co posiadają, jest chyba cechą powszechną mieszkańców naszego miasta. Nieświadomość i lekceważenie tego, co jest niezaprzeczalnym dobrem ogółu i wartością kulturalną, utrudnia niepomiernie pracę odpowiedzialnych za ochronę zabytków kulturalnych instytucji. Warszawa ma Starówkę, Gdańsk i Lublin dostały piękne Stare Miasta. Ale zapomina się o jednym — te „stare" dzielnice to falsyfikaty, kopie, rekonstrukcje. Że to nie są oryginały. Musiały być zbudowane dla prestiżu, dla celów dydaktycznych, dlatego, że chcieliśmy je mieć, bo bez nich czuliśmy się bardzo ubodzy i samotni... Łódź posiada architekturę autentyczną, oryginalną. Jeżeli zostanie ona zniszczona, spaczona przez modernizację, zaniedbana — nikt nigdy nie przywróci jej pierwotnego wyglądu. A najwszechstronniejsza dokumentacja nie zastąpi dzieł oryginalnych. Tymczasem nie zawsze plany rozwojowe miasta, wymogi komunikacji, potrzeby przemysłu i handlu zgodne są z planami nakreślonymi przez konserwatora zabytków. Nikt nie neguje konieczności wprowadzania takich czy innych usprawnień, konieczności budowania sklepów, rozbudowy zakładów przemysłowych, remontów. Ale te poczynania muszą mieć na uwadze rzeczywiste interesy architektury, bo są to interesy nas wszystkich. Nie można dopuścić, aby dla doraźnych potrzeb handlu niszczyć czy szpecić elewacje, przebudowywać bezmyślnie stylowe wnętrza, dewastować. Samowola i niekompetentne widzimisię różnych kierowników na Piotrkowskiej wyrządziły niepowetowane straty. Czas zapalić czerwone światło „stop" dla bezmyślności i wandalizmu.

Został w Łodzi sporządzony z inicjatywy konserwatora nowy Spis Budowli Zabytkowych miasta. Zwiększona została liczba obiektów uznanych za zabytki. Przy klasyfikacji wzięto pod uwagę wiek budynku, unikatowość, nazwisko architekta, wartość historyczną i emocjonalną tam zwłaszcza, gdzie w grę wchodziły powiązania danych obiektów z wybitnymi ludźmi (np. dom Tuwima). Spis objął 230 budowli — przeszło dwa razy więcej niż było ich w poprzednim spisie, rozdzielonych w czterech grupach. Ponadto została podjęta szeroka akcja zmierzająca do zmiany użytkowników specjalnie wartościowych obiektów. I tu należą się słowa uznania dla konserwatora, mgr Antoniego Szrama. „Wywalczył" już willę przy ulicy Wólczańskiej 31/33, w której mieściło się przedszkole (a więc użytkownik zupełnie nieodpowiedni dla takiego obiektu) — w której znajdzie swoją siedzibę Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, Biuro Wystaw Artystycznych i przyszłe Muzeum Secesji. W planach konserwatora jest utrzymanie pałacu Herbsta i otaczającego go parku w jego pierwotnej formie i oddanie go do dyspozycji Muzeum Sztuki, które zorganizuje tam w przyszłości Muzeum Sztuki XIX-wiecznej. Może, może uda się wcielić w życie, aby z centrum Łodzi uczynić żywy skansen XIX-wiecznej architektury. Należy życzyć sukcesu i... należy pomóc.

Zabytkowy pałac przy ul. Wólczańskiej 31/33.

Fot. W. Parys

ANDRZEJ GRUN

„Zakochać się w Leningradzie"

Dalszy ciąg ze str. 1

się z nieba leje, prawie trzy dzieści stopni w cieniu. Więc tym razem zwyciężyły uroki plaży, kąpieli, przy każdej estradzie skupia się zaledwie 400—500 widzów i słuchaczy. Zaledwie... „Święto literatury" ma wobec tego przebieg nieco pośpieszny. Publiczność siedzi po brzegach widowni, w wąskich półwyspach cienia, pisarze często-gęsto ocierają pot ze zroszonych czół. Oklaski, bo haterowie dnia (nie jedyni, bo teraz zaczną się występy artystów leningradzkich) schodzą z estrady, poznają się z całą grupą pisarzy. Nie są oni sami, przywędrowali na ten literacki piknik z rodzinami. Ale nie tylko. „To jest — powiada starszy, siwy pan — bohater mojej powieści..." Tu pada nazwisko, imię, ściskam dłoń postaci literackiej ubranej w granatowy, odświętny garnitur, dzwoniący poczwórnym rzędem orderów, medali i innych wysokich odznaczeń. Całą hurmą idziemy wśród szeleszczących mokro wodotrysków na obiad, w stronę nowoczesnego okrągłego budynku. Przed drzwiami restauracji długa kolejka uformowana przez cierpliwie, bez słowa oczekujących na wolny stolik ludzi. Trzeba by czekać chyba ze dwie godziny. Ale jest przecież z nami bohater powieści leningradzkiego pisarza. Poza kolejką wchodzi do restauracji — nie podnosi się ani jeden głos protestu, ludzie znają się tu na medalach jak my na stopniach wojskowych i wyczytali z nich: ten człowiek walczył m.in. tu właśnie, w Peterhoffie... Po kilkunastu minutach siedzimy przy śnieżnobiałymi obrusami zaścielonych stolikach. Ta sama historia powtarza się za kilka godzin, kiedy wracamy wodolotem do Leningradu. Znów tłum ludzi przy kasach znowu długi ogonek przy wejściach do portu, ale nasza grupa wchodzi swobodnie, bez protestów i przeszkód, poza kolejnością. I tu przypominam sobie z szacunkiem scenę, którą widziałem w moskiewskim metro. Oto na ławce pod ścianą wagonu siedział starszy i powiedzmy uczciwie — dość pijany mężczyzna z gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego w klapie marynarki. Podeszło do niego dwóch młodych, może dwudziestoletnich chłopców, nie bez trudu go obudzili i dowiedzieli się dokąd jedzie. Potem, podtrzymując go pod ramiona wyprowadzili z pociągu, zawieźli na górę ruchomymi schodami, na postoju, również poza wszelką kolejnością, wsadzili do taksówki i dopiero kiedy pojechał kontynuowali swoją podróż. Wzruszająca, ogromnie ludzka i głęboko mądra jest pamięć ludzi o latach wojny i wzruszający jest szacunek do bohaterów tamtych lat. Kiedyśmy siedzieli w przestronnej, chłodnej, mimo upału sali restauracyjnej opowiadano mi, że któregoś wieczoru, w czasie dancingu wpadł tu młody marynarz z zamiarem wysadzenia całej restauracji w powietrze. Nie mógł znieść myśli, że na tym miejscu, gdzie kiedyś przelewali krew marynarze Bałtyckiej Floty (w Peterhoffie w czasie blokady toczyły się straszne walki) może być teraz restauracja, w której ludzie jedzą, piją, bawią się...

Jest prawie wieczór kiedy wodolotem „Rakieta" lub „Meteor" — nie pamiętam, całe ich mnóstwo tu kursuje — wracamy do Leningradu. Lecimy po wodzie z szybkością 60 kilometrów na godzinę, ale nawet powietrze nie daje wytchnienia, nie chłodzi. Jakże inny jest teraz Leningrad, z kurczącej się odległości, przedwieczorny, osadzony w nieruchomym bezwietrznym upale...

* * *

O tej kanikularnej porze roku wszystkie co lepsze leningradzkie hotele są zapchane do ostatniego miejsca. A zajmują je nie turyści radzieccy, nawet nie obywatele państw naszego obozu. Przed hotelem „Oktiabrskim", „Moskiewskim", przed innymi jeszcze stoją długie szeregi autokarów i aut osobowych ze znakami Belgii, Holandii, Szwecji, Norwegii — ale przede wszystkim Finlandii. W pobliżu szczególnie atrakcyjnych miejsc zabytkowych, na Newskim Prospekcie, w pobliżu sklepów z pamiątkami i restauracji (kilka z nich obsługuje gości wyłącznie obco-walutowych) — gromady długowłosych chłopaków, dziwacznie ubrane dziewczyny. Leningradczycy patrzą na te dziwowiska grzecznie, ale bez natręctwa, czasem z uśmiechem, ale bez aprobaty. Zachodnia Europa wystawia tu na pokaz towar, który nie znajdzie nabywców, wzory, które nie znajdą naśladowców. A wieczorem w barach, restauracjach, winiarniach i piwiarniach sceny, które my, Polacy, znamy z Kołobrzegu i Świnoujścia. Tyle, że w Leningradzie rozpasanym objawom wyrwania się z kajdan prohibicyjnych przepisów nie towarzyszy nader interesowna, tubylcza otoczka...

* * *

Samolotem Polskich Linii Lotniczych „Lot", nie najbardziej szybkim przecież IŁ-em 18 będę stąd leciał

Dalszy ciąg na str. 4

STEFAN HRABEC

Ludzie wśród ludzi

WŚRÓD WIELU NURTÓW, KTÓRE TOCZĄ SIĘ W NASZYM WSPÓŁCZESNYM ŻYCIU, NIEBŁAHY OKAŻE SIĘ TEN, KTÓREGO CELEM BĘDZIE WYTWORZENIE NOWEJ ŚWIECKIEJ KULTURY SOCJALISTYCZNEJ.

Wypadnie choćby w sposób ogólny, nie silący się na naukową terminologię filozoficzną, powiedzieć, co będziemy rozumieć przez termin kultura świecka. Otóż będzie to przede wszystkim całość dorobku ludzkiego w dziedzinie życia społecznego, uformowanego w ciągu wieków przez człowieka i dla człowieka. W tym zakresie będzie nas interesować szczególnie ten wycinek kultury, który nosił dotychczas miano „kultury duchowej". W tej zaś dziedzinie na pierwszy plan trzeba wysunąć zagadnienia współżycia między ludźmi; idzie tu o wzajemną życzliwość i humanitaryzm, co wyraża się często za pomocą popularnej maksymy „człowiek człowiekowi bratem". Nie znaczy to, byśmy tak pojęte współżycie rozumieli jako nadstawianie lewego policzka temu, kto uderzy nas w prawy. Pojęcie winy i odpowiedzialności za nią nie może być obce kulturze świeckiej przy wszelkich założeniach socjalistycznego humanitaryzmu i życzliwości dla człowieka.

W bliskim związku z tym, co powiedzieliśmy przed chwilą, pozostają zagadnienia etyki, tj. tego, co się człowiekowi, żyjącemu w społeczeństwie, czynić godzi, a czego ze względów społecznych robić nie należy.

W skład pojęcia kultury świeckiej wejdzie też sfera obyczajów, ściśle związana z emocjonalną stroną ludzkiego współżycia.

Świeckość tak rozumianej kultury polega na przekonaniu, że ma ona ludzkie i przyrodzone pochodzenie i na eliminacji z życia kulturalnego wszelkich pierwiastków metafizycznych, nadprzyrodzonych.

Kultura, którą winniśmy u nas szerzyć, musi być nie tylko świecka (bo niekiedy wiele rysów świeckich ma też kultura kapitalistyczna), ale równocześnie socjalistyczna, tzn. taka, która służy dobru człowieka i uczy go harmonijnego współżycia z innymi ludźmi. Musi ona być wyzbyta z egoizmu i pogoni za własnym zadowoleniem za wszelką cenę, bez oglądania się na drugiego.

Jak z tego widać, kultura świecka łączy się z materialistycznym poglądem na świat, tym właśnie, który przyświeca naszej ideologii.

Przebudowa świadomości społeczeństwa w kierunkach, tu pokrótce omówionych, wymagała stworzenia ram organizacyjnych. Cel ten, pracę zorganizowaną, podjęło Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej, które powstało ze zjednoczenia Towarzystwa Szkoły Świeckiej i Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. W kwietniu ubiegłego roku konstytuuje się Zarząd Główny TKKŚ w Warszawie; działalność Zarządu Wojewódzkiego na terenie Łodzi i województwa łódzkiego datuje się od czerwca 1969 r. Zjednoczenie obu Towarzystw miało na celu wzmocnienie i ujednolicenie ruchu laickiego. Warto choćby w jednym zdaniu wymienić główne zasługi dotychczasowych Towarzystw, które się połączyły. Towarzystwo Szkoły Świeckiej było walnym sprzymierzeńcem partii w walce o świeckość polskiej szkoły, a Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli tworzyło i propagowało teoretyczne podstawy ideologii świeckiej. Nowo powstałe Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej natomiast pragnie kontynuować działalność obu swoich poprzedników oraz szerzyć te elementy kultury świeckiej, o których poprzednio wspominaliśmy.

Mija rok działalności TKKŚ. Jakie są jego osiągnięcia? Pierwszym naszym zadaniem było nic nie uronić z dorobku dotychczasowych Towarzystw laickich, TSŚ i SAiW.

Szło tu przede wszystkim o włączenie dotychczasowych członków dwu Towarzystw do pracy w jednym — nowym. Trzeba przyznać, że, mimo pewnych strat, udało się to nam w znacznej mierze. Kolejnym naszym celem stało się przygotowanie nowych form pracy, które nie byłyby ani takie same, jakimi posługiwało się TSŚ (głównie praca w środowisku szkolnym: rodzice, nauczyciele, młodzież), ani wyłącznie takie, jakie miało w swym planie SAiW (teoretyczna i propagandowa działalność głównie w środowisku inteligenckim). Pod opieką i kierunkiem KŁ i KW PZPR, posługując się przy tym wskazaniami Zarządu Głównego TKKŚ w Warszawie rozszerzyliśmy przede wszystkim bazę naszego działania, nawiązując kontakt z Wydziałami Kultury Rad Narodowych, ze Stronnictwem Ludowym, ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej, Ligą Kobiet itp. To znaczy, że działając w ramach Frontu Jedności Narodu, uważamy za konieczne prowadzenie pracy nad przebudową świadomości naszego społeczeństwa wspólnie ze wszystkimi instytucjami i organizacjami, które są na tym polu czynne.

Trzy głównie środowiska chcemy uczynić terenem naszej działalności: robotników, inteligencję i młodzież. W tej mierze mamy już trochę osiągnięć, ale jeszcze dalej idące plany na przyszłość.

W łódzkim środowisku robotniczym możemy się poszczycić powstaniem w minionym roku 26 kół przyzakładowych w dzielnicy Łódź — Śródmieście.

Podjęliśmy też udane próby pozyskiwania zakładów pracy na członków prawnych naszego Towarzystwa. Na tym polu pozostaje nam jednak jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba całą klasę robotniczą Łodzi i województwa łódzkiego pozyskać dla idei świeckiej i socjalistycznej kultury. Praca ta wymaga wysiłku, czasu, dobrego planu organizacyjnego i oddanych naszej idei działaczy.

Właśnie, działaczy. Do nich z natury rzeczy musi należeć przede wszystkim inteligencja, jako twórca ideologii socjalistycznej. Mamy już w naszych szeregach sporo członków z tej warstwy. Należą tu pracownicy naukowi łódzkich szkół wyższych (także we władzach Zarządu Wojewódzkiego TKKŚ), pracownicy wymiaru sprawiedliwości (sędziowie, prokuratorzy, adwokaci), pracownicy służby zdrowia, dziennikarze i in. Sądzimy, że i w tej warstwie społecznej jeszcze zbyt skromne mamy osiągnięcia. Chcielibyśmy widzieć wśród naszych członków i aktywnych sympatyków głębsze szeregi twórców kultury (naukowców, pisarzy, artystów) i inteligencji technicznej. Pierwsi, tworząc i prezentując modele kultury, mają do odegrania największą chyba rolę w ukazywaniu modelu kultury świeckiej i socjalistycznej z całym jej bogactwem zagadnień humanistycznych, a inteligencja techniczna, będąca wzorem w stylu życia dla klasy robotniczej może też wiele zdziałać w zakresie szerzenia socjalistycznego stylu życia. Inteligencja, z powodu swego wykształcenia i logicznych nawyków myślenia jest z natury rzeczy racjonalistyczna i świecka, ale jakże często przy tym oportunistyczna, tj. przekonana że do spraw świeckiego czy metafizycznego poglądu na świat nie należy przykładać większej wagi jako że sprawa jest obojętna. Chcielibyśmy, by każdy postępowy inteligent był naszym aktywistą lub członkiem, by pomagał w szerzeniu materialistycznego poglądu na świat, co nie jest sprawą, którą można odłożyć na bok lub na później.

I wreszcie domeną naszej działalności będzie młodzież wszystkich klas, warstw i ugrupowań społecznych. Na niej zależy nam najbardziej i o „rząd dusz" nad nią, o wychowanie jej dla socjalizmu będziemy walczyć we wspólnym froncie ze wszystkimi organizacjami i instytucjami, na tym polu działającymi. Współpracujemy tu przede wszystkim z naszym najaktywniejszym sprzymierzeńcem — ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej, i to zarówno wśród młodzieży robotniczej w zakładach pracy jak i wśród młodzieży szkolnej i akademickiej. Nie zadowalamy się wciąż jeszcze — naszym zdaniem — skromnymi w tej dziedzinie rezultatami. Poważne wyniki mamy wśród młodzieży szkolnej, gdzie pracę prowadzi nauczycielstwo przy życzliwym poparciu władz szkolnych.

Rekapitulując nasze zadania na najbliższą przyszłość, trzeba powiedzieć, że musimy udoskonalić i wzbogacić nasze formy pracy i rozszerzyć teren naszego oddziaływania społecznego. Naszych sojuszników musimy szukać wśród robotników, inteligencji (szczególnie inteligencji twórczej i technicznej) i młodzieży wszystkich klas i warstw. Stąd też płynie apel do „wszystkich ludzi dobrej woli", szczególnie z wymienionych tu środowisk, o pomoc w realizacji naszych celów.

Jeszcze słów parę o naszym stosunku do osób wierzących. Nie zamierzamy, podobnie jak nasza partia, dzielić społeczeństwa na wierzących i niewierzących, toteż odnosimy się do wszystkich wierzących (a więc nie tylko do katolików) z pełną tolerancją. Uważamy za godnych szacunku tych wszystkich wierzących, którzy uczciwie pomagają budować nasze socjalistyczne państwo. Ale tolerancja zawsze ma określone granice. Stanowić bowiem zawsze u boku partii wtedy, gdyby chciano wyzyskać religię i wierzących do walki z naszym socjalistycznym ustrojem. Nie zamierzamy też rezygnować ze zorganizowanej propagandy świeckiego poglądu na świat, widząc w nim jedną z podstawowych dźwigni postępu, tak jak w poglądach religijnych i metafizycznych widzimy podpory zastoju i wstecznictwa. Walcząc o postęp i zmianę świata na lepsze nie możemy się zgodzić, by wszystko było niezmienne, niewzruszone, święte.

POLONICA

POLSKI TYDZIEŃ WE FRANCJI

1 września rozpoczął się w Saint-Jean-de Luz, na Riwierze francuskiej, tydzień, poświęcony polskiej kulturze, uroczyście zapowiedziany przez mera tej miejscowości, Pierre Larramendy'ego. Złożyły się na tę manifestację: występy Pantomimy Wrocławskiej, popisy Londons Festival Ballet, realizujące polskie dzieła choreograficzne, koncert chopinowski w wykonaniu Samsona Francois, wieczór aktorów Komedii Francuskiej, poświęcony Polsce, francusko-polski spektakl folklorystyczny, „Natura sonoris" i „9 Symfonia" Pendereckiego pod batutą Z. Stanowskiego, odczyt o Marii Walewskiej, tydzień filmu polskiego, różne wystawy, referaty etc.

(WN)

RUCH NA LINII MIŃSK—ŁÓDŹ

W nr 7 miesięcznika literackiego POŁYMIA, wychodzącym w Mińsku, ukazała się kolumna wierszy Jana Huszczy. Autorami doskonałych przekładów: są: R. Baradulin, A. Klyszka i W. Zujanak. Jak nam wiadomo, Jan Huszcza w najbliższych dniach wyjeżdża z wizytą do Mińska.

W organie Ministerstwa Kultury i Związku Pisarzy Białoruskich LITERATURA I MASTACTWA z dn. 11. IX. br. ukazały się wiersze Macieja J. Kononowicza w tłumaczeniu Niny Maciasz, poprzedzone następującą notką redakcyjną: „W początkach bieżącego miesiąca bawił na Białorusi znany polski poeta, prozaik i tłumacz białoruskiej literatury na język polski — Maciej Józef Kononowicz. Gość odwiedził Związek Pisarzy Białoruskich. Odbyła się szczera, serdeczna rozmowa na temat wzajemnych literackich kontaktów białorusko- - polskich, wzajemnych przekładów i współpracy. Maciej Józef Kononowicz przekazał naszym pisarzom przyjemne wiadomości: w Wydawnictwie Łódzkim jest już przygotowana do druku „Antologia białoruskiej poezji" a istnieje i dalszy zamiar opracowania w niedługim czasie „Antologii białoruskiej prozy". Polecamy uwadze czytelników naszego pisma dwa wiersze polskiego gościa w przekładzie na język białoruski".

POLONICA

Fot. R. Jaworski

„Zakochać się w Leningradzie"

Dalszy ciąg ze str. 3

do Warszawy dwie godziny i 10 minut. Świat się kurczy, a te dwie godziny z kawałkiem to dość mizerne świadectwo wielkiej, międzynarodowej podróży. Ale w obrębie jednego kraju zdarzają się dłuższe podróże. Z Władywostoku do Leningradu jedzie się pociągiem siedem i pół doby, odrzutowiec pasażerski przemierza tę trasę w 14 godzin. Rosjanie wolą te wielkie podróże odbywać pociągiem. Sześciogodzinna różnica czasu między Dalekim Wschodem, a europejską częścią ZSRR powoduje, że przynajmniej przez tydzień nie może się człowiek odnaleźć. W dzień — rozleniwiająca, zabijająca chęć do życia senność, w nocy zaś bezsenność w parze z chęcią do zabawy, kontaktów towarzyskich, do zwiedzania miasta... W pociągu, w wygodnym wagonie sypialnym, w ciągu tygodnia, łagodnie i prawie niezauważalnie mija okres aklimatyzacji. Te dane: tydzień i czternaście godzin nie dają chyba jeszcze wyobrażenia o przestrzeni. Więc może unaoczni to historia, z pozoru nie mająca nic wspólnego z procesem aklimatyzacji. Na któryś, kolejny Międzynarodowy Festiwal Filmowy przyjechali wraz z tłumami publiczności pewna dziewczyna z Władywostoku i pewien chłopak z Leningradu. Nie wiem, jak się spotkali i jak poznali, musiała być to jednak miłość od pierwszego wejrzenia, bo już w kilka dni wracali razem do Leningradu. Tu, znów po paru dniach wzięli ślub. W tej chwili Lila i Wiktor Maksimowowie są już cztery lata małżeństwem. I dopiero teraz, po czterech latach ona zobaczy się z rodzicami, a on pozna swoich teściów. Czy to w jakiś sposób daje wyobrażenie o przestrzeni?...

* * *

Kiedy chodzę ulicami miasta, kiedy niepostrzeżenie, ale trwale wbija mi się w pamięć jego nieskomplikowana, z kwadratów i prostokątów ułożona mapa — przychodzi nagle wspomnienie, wspomnienie z podręczników, źródeł, z kart powieści Tołstoja przede wszystkim. Oto po kruszących się wczesną wiosną lodach Newy pędzi po pół osi w wodzie skórzana kolaska. Potem, gdzieś tutaj właśnie, zatrzymuje się, nieruchomieje. Wielka łapa szarpie rzemienie zamknięcia, wyłania się niedźwiedziowata noga, a za nią on sam, ogromny, przewyższający wzrostem wszystkich: Piotr I. Wtedy dwa działka stojące przed gubernatorskim pałacykiem owijają się w dym, grzmi salwa honorowa, po niskim maszcie biegnie szybko do góry flaga, a ku rzece, rozbryzgując topniejący śnieg i donośnie łomocąc botfortami biegnie kompania honorowa: car przybył. A on wdychając z lubością w szerokie nozdrza zapach morza i rozglądając się po niebie, po którym wiatr przepędza zwiastujące wiosnę obłoczki mruczy do siebie: paradyz. Budowali ten paradyz pod kierownictwem cudzoziemskich inżynierów rosyjscy chłopi i mieszczanie. Karmieni spleśniałym chlebem, trawieni błotnymi gorączkami wbijali grube słupy w bagno, przewracali się i tonęli w nim bez słowa, nie zauważeni. Pewnie pod betonowymi nadbrzeżami leningradzkich rzek i rzeczułek spoczywają tysiące szkieletów. Nie mają tu swoich pomników ani także tablic honorowych, zbyt wcześnie było na to, zbyt daleko do nowych czasów. A jest tu tyle pamiątek po tych, którzy budowali i umacniali wielkie imperium rosyjskie, pomniki otoczone są alegorycznymi postaciami, górują nad ulicami i parkami, wejść do pałaców, strzegą kamienne lwy (ktoś obliczył, że jest ich przeszło dwa tysiące), gdzieniegdzie spotyka się jeszcze żelazne pęki liktorskich rózeg i złowrogie, dwugłowe, czarne orły carskie. Miasto-muzeum, tyle razy słyszało się to określenie, ale wszystko trzeba na własne oczy zobaczyć, aby stwierdzić jak bardzo jest ono prawdziwe. Co kilkanaście kroków tablica: Tu mieszkał Puszkin, tu Niekrasow, tu Kryłow, tu stworzono wielkie dzieło rosyjskiej literatury; tam spina na wielkim głazie konia Jeździec Miedziany, tam zaś widnieje pomnik, który swemu dziadowi, Piotrowi I ufundował jego wnuk. I jeszcze tyle pomników naszych czasów: Lenin, Kirow, wielu innych z tej strony Newy — tablica upamiętniająca zamach na cara Aleksandra I-go. Z tamtej — brama wiodąca z Twierdzy Pietropawłowskiej. Tą bramą właśnie, pod ten czerwony, monstrualnie gruby mur ceglany wyprowadzano skazańców na rozstrzelanie. Może wyszedł tamtędy — by już nie wrócić — sprawca nieudanego zamachu? Ale wyjdźmy już z tych krwawych mroków historii carskiej Rosji. W tej chwili, obok bramy pod murem, na waskiej szaro-żółtej łasze piasku jest plaża miejska.

* * *

Uciekając co parę minut przed dokuczliwymi deszczykami, kryjąc się w bramach domów, brniemy przez miasto w czwórkę — leningradzka poetka — Irena Siergie-

JERZY WILMAŃSKI

Sesja w kuźni

Kuźnia stała tuż przy sadzie. Była maleńka i nie mogła, rzecz prosta, pomieścić nawet połowy tych, którzy dwoma autokarami przyjechali do wioski zagubionej wśród pagórków Lubelszczyzny. Operator Kroniki Filmowej wdrapał się po jabłoni na dach i krzyczał stamtąd rozpaczliwie:

— Andrzej! Rozpędź tych baranów, bo mi zasłaniają plan!

Na planie Bronisław Pietrak z Gutnowa i Jan Białek z Krasnegostawu, na kowadle ustawionym pośrodku obejścia wyczarowywali z żelaznych sztabek piękne okucia, zawiasy i kraty zdobione delikatną ornamentacją... Sypały się skry, kilkadziesiąt osób tłoczyło się na podwórku, jurorzy stawiali punkty w notatnikach.

— Nie mogę ich rozpędzić — odpowiadał z dołu drugi filmowiec — przecież to jury...

Połączone siły dziennikarzy, etnografów i członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych parły na kuźnię, właziły pod kowalski młot. Pomysł urządzenia w małej wiosce, w maleńkiej kuźni, w skromnym obejściu zagrody Bronisława Pietraka ogólnopolskiego Zjazdu Twórców Kowali, konkursu na ludowe kowalstwo artystyczne oraz sesji Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej niósł w sobie zarodek uroczego bałaganu.

A dlaczego w Gutanowie? Wioska jak inne — choć jak mówią miejscowi — pierwsze o niej wzmianki pochodzą z 1728 roku. Ale to właśnie tu żyje i pracuje Bronisław Pietrak, chłop żylasty i dwumetrowy — niezwykle popularna na Lubelszczyźnie postać. Jest dziś Pietrak przewodniczącym Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych — pisze wiersze, wydał przed siedmiu laty tomik poezji „Kąkole", publikuje w stałej antologii „Wieś tworząca", a poza tym od 1937 roku właśnie tu w Gutanowie jest wiejskim kowalem. „A w wolnych chwilach — mówi Pietrak — zajmuję się także wycinanką ludową". W wolnych chwilach! Trudno to sobie wyobrazić. Pietrak jest samotny, a przecież prowadzi gospodarstwo, kuźnię, działa społecznie, tworzy...

Ale przede wszystkim kuje. Na potrzeby wsi i na potrzeby Cepelii, a często i dla siebie, bo Cepelia „wie lepiej" co jest ludowe, a co nie. Więc Pietrak tworzy z żelaza piękne zwieńczenia drewnianych krzyży, stojących do dziś na rozstajach dróg, metalowe popielnice z podkową i kogucikiem, które potem pani z Warszawy określi jako nieludowe, „bo chłop nie używa popielniczki". Bronisław Pietrak ma na szczęście ogromnie dużo optymizmu i poczucia humoru, ma poza tym swoją artystyczną świadomość tworzenia, ma swoją twórczą intuicję i z „cepeliowskiego popytu" nie robi kapliczki. Wie również, jakie smaczki lubią dziennikarze.

W czasie wykuwania żelaznej kraty do okienka w komorze, mrugnął do fotoreporterów i zawołał:

— Panie profesorze, proszę mi chwilecz kę potrzymać.

Profesor Reinfuss, etnograf z UJ ujął wielkie obcęgi ściskające rozżarzony metal, Pietrak walił w żelazo a fotoreporterzy pstrykali aż miło. Temacik smaczny — twórca ludowy i uczony etnograf kują wspólnie metalową kratę.

Dla mnie w tej symbolicznej scence kryje się jednak coś więcej. Wpływ nauki, która z natury rzeczy opisuje zjawiska sztuki ludowej, a przecież coraz bardziej tę sztukę kontroluje i steruje. Która ingeruje w kształt i formę, aby uchronić sztukę od złych wpływów, ale jednocześnie — i na to nie ma rady — narzuca jej swoją własną estetykę.

Sam profesor Reinfuss mówił o tym, że zmiana odbiorcy sztuki ludowej — bo dziś odbiera ją miasto — wpływa na jej charakter, powoduje coraz większe zabiegi adaptacyjne, aby ją dla miejskiego odbiorcy adresować. Szczególnie kowalstwo artystyczne takim zabiegom podlega, bo przecież nikt sobie nie będzie w mieście dyszla czy drzwi okuwał ozdobionym żelazem. W swojej pierwotnej funkcji kowalstwo nie nadaje się do miasta — adaptacje idą nieraz daleko i raz znajdują akceptację etnografów — raz nie. Kryteria są tu bardzo płynne i nieraz autorytet etnografa musi zastępować argumentację.

Mimo tego autorytetu nie mogłem na przykład zgodzić się na określenie „ludowa" w wypadku metalowej lampki przedstawionej przez jednego z kowali. Wydała mi się ona sztuczną adaptacją, abażurek był bardzo „buduarowy" i całość bardzo miejska lub — co gorsze — drobnomieszczańska.

Nos dziennikarski mnie nie zawiódł. Porozmawiałem z twórcą, który zresztą bardzo rzucał się w oczy, był elokwentny i chętnie mówił o sobie. Zupełne przeciwieństwo Pietraka.

Oto, co mi powiedział ów zakopiański kowal — twórca ludowy: „Byłem trzy miesiące w Strasburgu, robiłem ze szwagrem żelazne ogrodzenie i bramę przy jednej willi. Tam ręczna robota ceni się wysoko — są tylko dwa kowalskie warsztaty we Francji. Jeden robi tylko na zamówienia Ministerstwa Kultury — drugi ma tak dużo zamówień, że czeka się pięć — sześć lat. Bramę zrobiliśmy piękną — lilie burbońskie i koszyczki na kwiaty — coś w stylu francuskiej secesji. Wróciłem do domu „Peżotem"...

Tak więc owa buduarowa lampka zaczęła mi pasować do koszyczka na kwiaty i „stylu francuskiej secesji". Ale do ludowej sztuki kowalskiej i zakopiańskiej tradycji nijak mi nie pasowała.

Lecz zakopiański kowal w jednym przynajmniej miał rację. Warto i można — bo jest rynek zbytu — eksportować polskie, ludowe kowalstwo artystyczne. Lecz chyba nie będziemy eksportować, bo obecna przy rozmowie pani z Warszawy powiedziała: „Nie jesteśmy zainteresowani eksportem naszego kowalstwa".

I kropka. „Pani wie lepiej".

A w kuźni huczało nadal. Praca szła na dwa kowadła — jedno na podwórku, drugie w szopie. Pietrak zrobił już swoją kratę, zdobioną „baranimi różkami", Jan Białek wykuł już prosty, zwykły zawias do stodolnianych wrót, ale pokrył go tak misterną, koronkową niemal siateczką, że ów zwykły kawał żelaza nabrał rzeczywiście walorów sztuki.

W kręgu radiowców stoi inny kowal, trzymając w obcęgach wielki gwóźdź z łebkiem pokrytym wianuszkiem ornamentacji. „Za dawnych czasów dla zwykłego rolnika robiłem gwóźdź z gwiazdką, ale jak robiłem dla wdowy jakiejś czy też żołnierki, to wtedy robiłem gwóźdź z wiankiem...". Siermiężny humor notują taśmy magnetofonów.

Fot. W. Parys

Ale przecież nie potośmy tylko przyjechali do Gutanowa na zjazd, konkurs i sesję. Przyjechaliśmy po to, aby zobaczyć jakiś autentyczny fragment tego spontanicznego ruchu twórczości ludowej, któremu właśnie w województwie lubelskim daje się szczególne szanse i warunki istnienia. Piszę „spontaniczny", choć wiem, że zgasłby ten ogień, gdyby nie podsycały go handlowe oferty Cepelii, gdyby nie nobilitowały go badania i zainteresownia naukowców. Faktem jest jednak, że na Lubelszczyźnie działa na przykład 25 ośrodków ceramiki artystycznej w takich wsiach, jak Glinne, Krasnobród, Pawłów, Urzędów, Pantowice Górne... A w Sobiskach, Łomazach, Chmielowie, Woli Korybutowej znajdziemy ludowych rzeźbiarzy. Kolorowe i wzorzyste tkaniny o różnorodnych splotach wykonuje się m. in. w Radzyniu i Rusiłach, w Zerdzi i Wyrykach, w Jeleńcu i Wojcieszkowie... W trzynastu innych wsiach kultywuje się tradycje plecionkarskie — powstają tam koszyki, dzbany, fantastyczne zwierzątka — z trawy, rogożyny, wikliny.

Gutanów nie jest wsią wyjątkową — nie przywieziono nas tu — publicystów i etnografów — na uroczystą „pokazówkę" do wzorcowej wioski. Gutanów to po prostu jeden z przykładów ruchu ludowej twórczości, który na Lubelszczyźnie rozwija się szczególnie żywo.

Patrząc na przybyłych z całego kraju kowali-artystów, jak sprawnie i szybko wykuwali gwoździe i zawiasy, musiała się nasuwać smętna myśl, że to „ostatni co tak poloneza wodzą". Owe piękne gwoździe i zawiasy są już bowiem tylko przedmiotem estetycznych i etnograficznych „wzruszeń". Praktyczny pożytek już z nich żaden — to po prostu pozostałość minionych epok. Na co dzień kowale-artyści zajmują się remontem... blacharki samochodowej. W kuźni Bronisława Pietraka zapachniało natomiast minionym stuleciem, kiedy to przedmioty żelazne — łańcuchy, klamki, rygle i zawiasy — wymieniano w chłopskich testamentach jako szczególnie cenne przedmioty domowego gospodarstwa.

Lecz ta wioska rzucona między garby Lubelszczyzny, daleko od przystanku PKS nie trąci minionym wiekiem, miedzami przelatują chłopaki na dudniących motocyklach, a obok klubu rolnika bieli się pawilon handlowy w stylu powiatowym z drugiej połowy XX wieku.

Ale tam w kuźni.. Tam ujrzeliśmy trysk ający iskrami kawałek siermiężnej, prostej przeszłości polskiej wsi. Biednej wsi lubelskiej, która swą biedę potrafiła tak pięknie stroić siłą ludowej twórczości.

---

jewa, para młodych tłumaczy i poetów węgierskich i ja. Przed godziną posłuchałem sobie jak nasi bohaterowie — tłumacze przecież — mówią po rosyjsku i jak ręką odjął minęły mi moje — zwyczajne podobno po dłuższym pobycie — kłopoty językowe. Znów setki tablic, znów objaśnienia (niektóre z nich już dobrze znam)... Aż wreszcie, zmęczeni nie tyle spacerem ile panicznymi ucieczkami przed ulewą wchodzimy do kawiarni. Ten nowy podobno — według powszechnej opinii — wynalazek rosyjski musi tu jednak mieć dużą tradycję, bo i kawiarni sporo i ludzi w nich dużo. Siadamy, pijemy węgierskie wino i radziecką kawę. Irena najchętniej mówi po rosyjsku, ona — Węgierka — po węgiersku, on — po czesku (kończył studia w Pradze), a ja — żeby się nie wyróżniać — po polsku. Ale ta miniaturowa Wieża Babel jest sympatyczna. Więc i toast wznosimy stosowny: abyśmy zawsze (my, poeci) rozumieli się nawet wtedy kiedy rozmawiamy w swoich własnych, ojczystych językach.

* * *

Temperatura powietrza — 14 stopni. Silny wiatr i nieustanny deszcz. Mniej więcej 100 tysięcy wariatów podobnych do mnie, przemoczonych do szpiku kości i spazmatycznie szczękających zębami siedzi na stadionie imienia Lenina. Pierwszy dzień meczu międzypaństwowego w lekkiej atletyce ZSRR—USA. Przed ulewą nie chronią ani parasole, ani płaszcze, mokro z dołu, z góry i ze wszystkich stron. Ale publiczność siedzi jak wmurowana, nawet nastrój jest pogodny, krążą żarciki i anegdotki, pogaduszki i dogaduszki. I nikt jakoś nie ogrzewa się naszym, polskim sposobem. Ceremonia otwarcia, pierwsze konkurencje. Deszcz — ciągle ten sam, temperatura ta sama, ale jakby trochę cieplej. Wreszcie — koronna konkurencja pierwszego dnia, w której gospodarze liczyli na pewny sukces — 10 kilometrów. Niemal od początku prowadzi jeden z Amerykanów. Za nim, w odstępie kilku metrów — Rosjanin. Po kilku okrążeniach publiczność zaczyna się niepokoić: „Stiopa, nie puszczaj go!" rozlegają się okrzyki. Ale nagle zawodnik Stanów Zjednoczonych swobodnie i zdawałoby się bez wysiłku odrywa się od całej stawki: do samego końca biegnie nie zagrożony. I wtedy okrzyki milkną, a zaczyna się piękna historia: biegnącego Amerykanina kolejne sektory witają i żegnają oklaskami. I wraz z nim biegną te oklaski dookoła stadionu, życzliwe, ciepłe, pełne uznania dla najlepszego... Potem na finiszu i drugi zawodnik USA mija Rosjanina. Obaj odbywają rundę honorową. A ludzie klaszczą, rzucają im kwiaty, skandują: „Mo-łod-cy, mo-łod-cy"...

* * *

Jeszcze jeden spacer brzegiem rzeki. Wiesz, powiada znajoma, ojciec mi opowiadał, że w czasie blokady, zimą przechodził Newę po lodzie. Dlaczego? Dlaczego nie po moście? Były zburzone?... — pytam. Nie, ale mosty — wysoko, trzeba było iść pod górę. A ludzie nie mieli siły...

* * *

Wszędzie tutaj, w pobliżu Newy i na jej nadbrzeżach powinny wieczorami wisieć tablice: „Dozwolone od lat 18". W parkach i na skwerach, na bulwarach nadbrzeżnych i na schodach zbiegających nad samą wodę siedzą w czułych splotach zakochane pary, przechadzają się, całują na środku ulicy. Jest ciepły wieczór, ciepła noc. Jeśli ktoś się zagapi — a o to w takich okolicznościach nietrudno i zapomni, że mieszka po drugiej stronie rzeki — będzie musiał spędzić noc pod gołym niebem. O pierwszej przestaje kursować metro, o drugiej podnoszą się wszystkie mosty na Newie, trzeba więc poczekać aż do piątej rano. Pomimo to nie widać nerwowego pośpiechu po obu stronach rzeki, pary toną w miłosnych uściskach, wg mądrego powiedzenia, że szczęśliwi godzin nie liczą. Ale mimo tych ścisłych objęć nie ma tu nic z atmosfery ponurego seksualizmu. Przeciwnie, nikt się nie izoluje, wszyscy znajomi i nieznajomi — pogadują ze sobą, świadczą sobie wzajemnie drobne grzeczności: a to ktoś komuś zapałki pożyczy, a to gazetę — żeby spodni nie pobrudzić, kiedy się siada na schodkach, a to para parę łódką po Newie powiezie pod wtór piosenki... I jest w tym klimacie coś tak ujmującego, coś tak wyłączonego, że rozumie się, nie pierwszy raz zresztą: dlaczego można i jak można zakochać się w Leningradzie.

* * *

Więc będą tu wracali wszyscy, którzy choć raz byli. Wszyscy, których zmoczył deszcz leningradzki, których wiatr przewiał, którym podmuch nasypał do oczu dokuczliwego kurzu. Wszyscy ci, którzy widzieli Newę i rękę w nią zanurzyli, którzy poznali ludzi: ich serce otwarte dla przyjaciół. A Leningrad przyjmie ich zawsze tak samo: z obojętną na pozór grzecznością, którą ma dla nieznajomych. Ale przecież zawsze poznajemy się z miastem, tak jak się poznajemy z człowiekiem. I zawsze jest miejsce, albo jest ktoś, do którego wracamy najchętniej.

MAREK WAWRZKIEWICZ

JAN JANISZEWSKI

Końskie opowieści

Rys. E. Inglot

Błąd

— Każdy żgaj poradzi okuć wóz. Silny, to i wali młotem. Ale podkuć? Co będę wam gadał... Byłem kapralem, jak mnie wysłali na szkołę podkuwaczy do Warszawy, na Jagiellońską. Wykłady: skąd u konia kopyta a nie palce. Hippologia. Major weteryniarz uczył. Popóźniej prachtyka. Podkowa na milometr — u wyścigowca. Insza artyleryjska. A jak ci się przytrafił platfus?

Ulubiony wywód na temat sztuki podkuwania przerwał mistrz Butkiewicz wezwaniem do terminatora Władka:

— Podprowadzaj, nie gap się!

Władek zaś, podskakując ze źrebicą Baśką jak pajac na nitce, odparł hardo:

— Przecie nie stoję!

— Smaczna źróbka — mówił do siebie z rozrzewnieniem Butkiewicz — pójdzie w remonty. — Po czym zwrócił się do rozhasanej Baśki, a z kolei do Władka:

— Dadzą ci szkołę w szwadronie zapasowym, dadzą. Będziesz chodziła w krok pod orkiestrę. Nie tańcują z nią, Władek! O, tak, widzisz, złap za wodze. A ty masz marchwiane ręce...

I rzeczywiście, gdy kowal ujął wodze, źrebica stanęła jak wryta.

— Co majster, to majster — stwierdził z uznaniem stangret Marcin — wojskowa ręka.

— A teraz poklep ją — rzekł kowal rzeczowo — i dawaj prawą przednią. Będziesz miała buty jak się patrzy — na stępa, kłusa i galop. Dopasuję ci jak Icek z Sobkowa — na stalunek.

Tymczasem pod kuźnią rajc trwał w pełni. Rej wodził Marcin.

— Jadę ci nocą z Małogoszczy lasem. Czwórka jak się patrzy: Strzałka i Agar w lejcu, a Gidran i Czort w dyszlu. A tu coś klapie. Podkowa — tak se myślę — u Agara. Złażę z kozła. Podkowa siedzi. Widzi mi się, że Gidran. Znowu złażę z kozła. Siedzi, jak mur. Ino z tyłu szarpie mnie dochtór, bo wiozłem go do rządczynej żony: — Marcinie, nie widzicie, że już drugi raz mijamy mogiłę powstańców. — Błąd nas chycił, panie dochtorze — powiadam.

— Kto teraz? Za kolejką, jak w razurze! Ino Marcin poczekają — jaśnie pan foszman. Józek śpi — ino prycha. Kawalerka mu wyłazi — zwrócił się majster do klienteli.

Do koniowiązu podprowadził karego jak noc Kolosa najstarszy fornal, Klimek. Po czym podał kowalowi paczkę z machorką:

— Kręćcie, majsterku.

Kolos stanął jak na komendę przy barierce.

— Mądry, jucha, a bosy jak dziad kościelny — mruknął Butkiewicz.

— Takie to tera ufnale — stwierdził Klimek — jak służyłem za cara, to wytrzymały bez całe maniebry.

Tymczasem Józek wyrwał się z drzemki i wrzasnął z przerażeniem:

— Kiedy ja?

— Śpij se, śpij dalej — pocieszył go kowal.

— A bo pan gorzelany kazał zaprząc zaraz. Jedziemy po akcyźników.

— Podkuję, podkuję. Nie bój się. Gorzelany myśli, że podkuć, to jak z okowitą. Zrobi zacier i gorzałka kapie do kufy. Starczy ci sprytu na wesele. Prawda, Marcinie?

— A juści, majsterku. Chłopak jak ta lala. W sam raz dla mojej wnuczki. Powiezę ich cugantami do kościoła.

— Ino żeby młodych błąd nie chycił po oczepinach — wyrzekł z powagą majster.

Zegarek

— Ino mu się latarnia świci — kpili ludzie we wsi.

— Patrzcie go, urwał się hyclowi na urlop — urągali wręcz jędrzejowianie, kiedy ukazywał się na ulicach miasta.

Ostro rysujący się kościec nie był jedyną cechą, która go wyróżniała wśród koni całej okolicy; sławę zyskał pracą na czas. Ba! powiecie, przecież każdy koń ma wyczucie czasu, choć nie posługuje się cymą, ale przeciętny śmiertelnik tego rodu manifestuje określoną godzinę agresywnością wobec żłobu, grzebaniem nóg (jak to ludzie ordynarnie nazywają), lub rżeniem. Natomiast Podsychany o jedenastej godzinie zawracał do stajni: można było regulować zegarki. Szybko więc skończył swą karierę w stajni dworskiej. Kupił go wtedy za psie pieniądze dorożkarz z Chęcin, Michał.

— Dam se z nim radę. Wezmę go na podmianę z Kasztanką, a powoli się ochlasta. Nie takich waryjatów widziałem.

Podsychany przez dłuższy czas dobrze się sprawiał, gdy nowy pan eksploatował go po południu. Kiedy jednak Kasztanka poważnie zazołowała i pozostała w stajni, a mistrzowi bata trafił się rano dobry kurs do Słowika, zaprzągł Podsychanego do dorożki, mrucząc pod nosem:

— Pójdziesz, pójdziesz... Postoimy pod lasem, popatrzysz se na letników, popasiesz się na rowie... Podkarmią cię gu lony cukrem...

Po czym, rozsiadając się na koźle, gwizdnął po sałaciarsku i wykrzyknął z fantazją: — Ryzyk — fizyk!

Kiedy już byli parę kilometrów za Chęcinami, punktualnie o 11-ej, Podsychany stanął, a potem zaczął cofać się do tyłu.

— To nic, proszę państwa — zwrócił się dorożkarz do pasażerów — on taki kontent, że mam dobrych gości.

Łatwo się domyślić, że wyjazd zakończył się odwrotem. Pan Michał zaś wydobył z siebie tylko dwa słowa:

— Zegarek, jucha.

ALINA KULIŃSKA

Portrety

I

Barwy ciemne,
posypane trochę srebrem
rozbielone mlekiem.
Na stołku renesansowym siedzisz,
jak zwykle z miłym uśmiechem
Tło — miękka kotara
w wypukły wzór haftowana,
w dłoni kieliszek z winem
Na ścianie — gitara

II

Uśmiech nieśmiały
spojrzenie w bok
nieobecne
dłonią wygładza
błękitne refleksy westchnień.
Otulona pledem
w czerwoną wielką kratę
myśli może o niczym,
a może o prawdach, które rządzą światem...

III

W jakimś przytulnym kącie
czyta pożółkły romans.
Uśmiecha się może do siebie,
a może właśnie do nas.
A przecież w oczach jej smutek
i dłonie nerwowo splecione...
Tło? — Malwy do nieba wysokie
i skrzypiec przeczyste tony...

Pierwsza miłość

Kocha cię mała dziewczynka
uczesana w śmieszne warkoczyki
I płacze czasem do poduszki
a czasem do gwiazd
I prosi cię tak bardzo
Przyjdź jutro pluszowy niedźwiadku
pocałuj ją na dobranoc
i lampę sam zgaś.

Biały bez w styczniu

Bez biały żółta wstążeczka
Cztery gałązki — jakie ładne
Ktoś na nie spojrzy
wzrokiem owinie
w celofan śmieszny
czy w śnieżną zamieć.

My

Do rozmodleń szarych nam daleko
latać nie umiemy na skrzydłach z papieru
czas przez palce i włosy
niewidzialną rzeką
czy prostą
dążącą do zera...

OD REDAKCJI: Wiersze powyższe zostały w jednym z poprzednich numerów naszego pisma wydrukowane omyłkowo pod innym nazwiskiem. Przepraszamy Autorkę i Czytelników.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Otwieranie furtki

Jeszcze przywarta do ram płotu
czerwienią wina zadziwiona
niezadeptana ziemia czeka
pragnienie klucza
radość zamka
gdy dotkniesz sztachet zwilgotniałych
zaskrzypi znikającym słońcem
a potem
w ogród wejdziesz sama
dojrzałe jabłka pod stopami
w dom opuszczony w chłód stężały
kroki i dłonie oniemiałe
i twarz przy twarzy cieniem obrazów
wniknąć już w szarość obcych sprzętów
odległy pies szczekanie głuche
ręce potrzebne
odwróć oczy
anioły nad zamarłą wodą patrzą na sine horyzonty
gdzieś tam cieśniny czarnych ulic
płomień ześliznął się w ramiona
cisza blask
tylko
nie zamykaj

Żegnając

Snem i ustami, skrzydłem mewy,
podmuchem wiatru, fal migotem,
wszystkim, co było, co zostanie,
słowem jedynym,
mknącym teraz w ostygłe labirynty światła,
po śladach jeszcze niezatartych,
ukrywających nocne śpiewy
świerszczy i słów, cichnące kroki
w szorstkich gałęziach, w trawach wydm.
Dłonią i szeptem, ścianą morza,
sosną skarlałą, chwilą lęku,
wszystkim, co dźwięk i rytm i kolor.
Wchodzenie w stukot kół pociągu,
w bieg pusty, w świat tak pomniejszony;
co pozostanie, co zabierać,
co jest powietrzem, co milczeniem,
jak dokąd po co gdzie którędy.
Przedświty dzwonią.
Słońce gdzieś dymi.

KONRAD FREJDLICH

Jeden z pokolenia

W ciemnych okularach, w niedbale rozpiętej kurtce, z uśmiechem, w którym więcej właściwie bólu... Nawet ten fragmentaryczny rysopis kojarzy nam się mimo wszystko z osobą tragicznie zmarłego aktora filmu i telewizji, Zbigniewa Cybulskiego nazywane go przez młodzież krótko i poufale „Zbyszkiem", albo Maćkiem Chełmic kim, dla przypomnienia jego najdo skonalszej roli w filmie „Popiół i diament". Młodzieżowy idol, którego każdy gest czy szczegół ubioru pod chwytywała natychmiast ulica nale żał do najbardziej popularnych oso bistości w naszym kraju. Zdawał się wyjątkowy, jedyny w swoim rodza ju, niepowtarzalny i niewątpliwie był silną indywidualnością. A jednak po lekturze książki Jerzego Afa nasjewa nie waham się nazwać Cy bulskiego jednym z wielu, jednym z pokolenia, do którego należy tak że Afanasjew, a które legitymuje się jednocześnie tak różnymi nazwiskami jak BOGUMIŁ KOBIELA. Wo kół tego pokolenia utworzono już zresztą katastroficzną mitologię, któ rej nie zdołał się chyba oprzeć tak że autor książki, skoro pisze: *„Trud no jest zaplanować sobie życie, ot tak, z ołówkiem w ręku. To czynią za nas rachmistrze. Nieprawdziwie. Mylnie. Lecz „zawodnik" rozkłada siły na zamiary. Znając siebie pla nuje swój bieg. Walczy otwarcie lub podstępem. W biegu wypija orzeź wiający błysk wody. W życiu o to trudniej. Biega się tylko raz. Bez próby. Tam, gdzie wówczas było źródło, dziś stać już może tylko wy schnięty kamień. Dyslokacje...*

Życie podobne jet do maratonu".

Ten cytat stanowi jednocześnie próbkę manierycznego, właściwie nieznośnego stylu Afanasjewa, bebechowatego, jakby to określił Witkacy. Ten sposób pisania odpycha a jednocześnie przyciąga, denerwuje ale i intryguje, ma charakter bru lionu spisanego na gorąco a jedno cześnie wymyślnej, precyzyjnej kon strukcji. Swoją książkę nazwał też Afanasjew w podtytule „Brulionem z życia aktora filmowego połowy XX w"., ale to tylko pół prawdy, gdyż Cybulskiego ukształtował ra czej teatr, film zaś dał mu tylko po pularność.

Waham się nazwać tę publikację monografią, jak wahałbym się na zwać ją brulionem. Jest to raczej fotograficzny montaż, na który skła dają się strzępy listów Cybulskiego i listów do niego, gazetowe wycinki, fragmenty recenzji, wywiady, wy brane partie scenariuszy filmowych. A przecież mimo tylu dokumentów, których wiarogodność nie budzi naj mniejszej wątpliwości Afanasjew konstruuje ostatecznie nowy mit: sztukę, konwencję utożsamia z ży ciem, a przynajmniej zaciera ich granice. Nawet tak przeraźliwie re alny fakt jak śmierć Cybulskiego pod kołami pociągu przywołany jest poprzez fragment scenariusza filmu „Salto", w którym grał on rolę Ko walskiego — Malinowskiego. Tak narysowany Cybulski jest wciąż e kranową postacią, smugą światła na rozpiętym daleko płótnie. Ale o przyjaciołach pisze się najtrudniej.

A przecież, wbrew niejako inten cjom autora, spoza tych zasłon do chodzi do nas mimo wszystko bar dziej wyrazisty i bezpośredni wize runek Cybulskiego. Autentyki wyła mują się z konwencjonalnego po rządku, przemawiają samodzielnie. I wtedy okazuje się, jak to dość przewrotnie napisał Afanasjew na początku swojej książki, że „on (Cy bulski — K. F.) był zwykłym face tem. Zwykłym. Bardzo zdolnym."

Tyle że dotarcie do tego wizerun ku nie jest sprawą tak, zwyczajnie sobie, prostą, wymaga sporo wysił ku i dobrej woli czytającego. Bo książka jest brulionem w tym prze de wszystkim sensie, że przynosi wiele materiałów, na podstawie któ rych można by dopiero napisać mono grafię. Ale to musiałby zrobić ktoś, kto mniej niż Afanasjew znał Cy bulskiego, ktoś spoza ich pokolenia.

Nie oznacza to oczywiście, że Afa nasjew źle wywiązał się ze swego zadania. Przypuszczam nawet, że długo nie otrzymamy lepszej książ ki o Cybulskim, choć jak już powie działem, autor zbyt chyba uległ oso bowości wybitnego aktora, zbyt był zafascynowany fenomenem jego lo su. Toteż pełniej udało mu się przed stawić jedynie tzw. tło. W zakresie zgromadzenia realiów nic właściwie nie można zarzucić autorowi, można co najwyżej wyrazić podziw dla je go dociekliwości i sumienności.

Lojalność Afanasjewa wobec zmar łego przyjaciela, która ograniczała go jako pisarza, posunięta jest tak daleko, że z ogromnym pietyzmem zgromadził właściwie wszystko, co wyszło spod pióra Cybulskiego. W aneksach znajdziemy więc szkice scenariuszowe aktora, jego artykuły prasowe, luźne notatki, wywiady i życiorys. Te drobne druki stanowią istotne uzupełnienie książki. Afana sjew dołączył też wykaz ról teatral nych i filmowych przyjaciela oraz zestawił bibliografię materiałów pra sowych o Cybulskim. Zgromadził też interesujący materiał ilustracyjny. Wszystko to podnosi niewątpliwie walory książki, której edytor dał wyjątkowo staranną szatę graficzną.

Jerzy Afanasjew: „Okno Zbyszka Cybulskiego". Wydawnictwo Łódzkie 1970, str. 431 i uzupełnienia, cena zł 55.—

Przeszłość i teraźniejszość

Nie tylko w wiekach średnich

Od niepamiętnych czasów człowiek usiłował wyeliminować z otaczającego go świata przypadek i starał się na swój sposób wyjaśnić wszystko, co się wokół niego działo. Nie tylko współczesny historyk najniechętniej — czasem nawet zbyt niechętnie — dopuszcza w swoim rozumowaniu możliwość przypadku. Podobnie doń, lecz jednocześnie jakże odmiennie, czynili dziejopisowie dawnych epok, którzy odwoływali się do odmiennych niż dziś interpretacji. Jakże pasjonującym zajęciem jest dla badacza zgłębianie tych dawnych sposobów myślenia, w dążeniu do poznania wizji świata, świa topoglądów ludzi dawnych czasów. Najtrudniej tego do konać w odniesieniu do tych epok, po których pozostało niewiele śladów ludzkich mniemań, jak było z mieszkańcami ziem polskich w okresie najwcześniejszego średniowiecza. Nasza wiedza o tych czasach byłaby wielokroć uboższa, gdybyśmy nie dysponowali wielomównymi przekazami, pochodzącymi od naszych są siadów, zwłaszcza od bliskich nam kulturowo innych ludów słowiańskich. Przekazy te powiadają niejednokrotnie o sprawach niezmier nie podobnych do tych, jakie zajmowały także i naszych przodków, bowiem zachodzą daleko idące analogie między sposobami myśle nia i reagowania na świat wczesnośredniowiecznych Po laków, a Rusinów czy Czechów. Stąd polski historyk z uwagą wczytuje się w źródła ruskie, przede wszyst kim zaś najdawniejszy zachowany latopis — „Powieść Minionych Lat".

Postawiłem sobie pytanie: jaki światopogląd reprezentuje autor, a raczej autorzy — kilku ich bowiem by ło — tego wspaniałego zabytku? Odpowiedź zdaje się prosta: ruski mnich, który spisywał dzieje swego kraju, reprezentował oczywista światopogląd chrześcijański, więc podstawą jego wizji świata musiała być doktryna rządu Opatrzności w świecie. Opatrzność — zdaniem dziejopisa — sprawowała ów rząd bądź bezpośrednio, bądź pośrednio, przy pomocy aniołów, które szcze gólniej miały się opiekować chrześcijanami, osobliwie zaś... prawosławnymi książętami ruskimi.

Uważna lektura latopisu, w którym tak często mowa o karach niebieskich, znacznie rzadziej zaś o nagrodach, prowadzi nas do wniosku, że dziejopisowi bliższa była tragiczna wizja ludzkiego by towania, niż wizja radosna, optymistyczna. „Bóg naprowadza za grzechy na każdą ziemię głód, albo mór, lub posuchę, lub inną karę, a człowiek nie wie nic" — pisał dziejopis. Wizja ta, różna od obowiązującej w chrześcijaństwie powszechnym, powstała pod ciśnieniem tradycyjnych słowiańskich wierzeń ludowych, przede wszystkim koncepcji gniewnego, karzącego bóstwa, której latopisiec starał się nadać kształt chrześcijański. Dziejopis odbiegał od powszechnych wzorców jeszcze bardziej, kiedy przedstawiał świat jako świat zmagania się dobra ze złem, na wzór dualistyczny, niemal manichejski, świat, w którym człowiek jest narażony na ustawiczne niebezpieczeństwo ze strony rozlicznych złych duchów, biesów, których zadaniem jest sprowadzanie ludzi na drogę zła. Latopisiec widział nawet jak owe biesy wyglądają: „są zaś z wyglądu czarni, skrzydlaci, ogony mające, wznoszą się i pod niebo, słuchając waszych bogów", miał powiadać pewien opętany przez biesa nowogrodzianin. Chrześcijański mnich nie zdobył się na stwierdzenie, że duchów, czczonych przez pogan po prostu nie ma, nie zdobył się na myśl, że bałwany pogańskie są kawałami kamienia, drewna czy innego tworzywa. Nie zaprzeczył istnieniu czczonych duchów, ale odmówił im boskiego charakteru, dowodził, że są to biesy, bałwany zaś to wizerunki biesów. W ten sposób dokonywał swoistej chrystianizacji tradycyjnych wierzeń pogańskich na drodze zmiany hierarchii uznawanych wartości, ale nie na drodze zmiany samych tych wartości. W ten sposób elementy wierzeń pogańskich zostają wintegrowane w nową wizję świata, a światopogląd chrześcijańskiego mnicha ruskiego coraz to bardziej będzie odbiegał od tego światopoglądu, który nieśli na Ruś przybysze z Konstantynopola...

Nie chodzi tylko o to, że analogicznie bywało w innych krajach, że podobnie przebiegała walka z pogaństwem we wczesnośredniowiecznej Polsce. Stoimy bowiem przed problemem natury ogólniejszej, ścierania się dwóch ideologii, dwóch wrogich światopoglądów. Jest uproszczeniem mniemać, że proces walki prowadzi jedynie do przezwyciężenia jednego przez drugi. To tylko jedna strona zjawiska. Zachodzi tu bowiem sprzężenie zwrotne: w toku zmagań zmienia się pod wpływem przeciwnika także i kształt ideologii zwycięskiej, która wówczas, gdy walka będzie wygrana, w niewielkiej mierze będzie zgodna z tym swoim pierwotnym kształtem, w jakim przystępowała do walki. Do takiego oglądu zjawisk społecznych skłania nowoczesna refleksja dialektyczna, w jej perspektywie jawią się wyraziście niebezpieczeństwa postawy myślowej, którą współcześnie określamy mianem dogmatyzmu. Właśnie na gruncie tego typu refleksji możliwe staje się przezwyciężenie dążeń uniformistycznych na rzecz historycznej różnorodności kształtów jednego — w wypadku średniowiecza chrześcijańskiego, innego w innych czasach światopoglądu.

JÓZEF GRZELAK

PS. Miłośnikom średniowiecznego piśmiennictwa zaś polecam najgoręcej piękny przekład „Powieści Minionych Lat" wydany przed dwoma laty przez Ossolineum, który jest dziełem Franciszka Sielickiego.

MARIAN PIECHAL

Poeta kwiatów zła i dobra

I

Charles Baudelaire to jeden z największych poetów francuskich od czasów Francois Villona. Czym dla wieku XV był Villon, tym dla wieku XIX był Baudelaire. Każdy z nich, jeśli chodzi o poezję, stworzył tylko jeden tom wierszy, ale za to rewelacyjny. Kwiaty zła w poezji XIX wieku odegrały podobną rolę, jaką w poezji wieku XV odegrał Wielki testament. Oba dzieła na tle swoich czasów były czymś niezwykłym i stanowiły wyraz zasadniczego przełomu: inspirowały nowe epoki poezji. Wyrastały z postawy całkowitej dezaprobaty ich twórców wobec obyczajowej, społecznej i politycznej rzeczywistości, w której przyszło im żyć i tworzyć. Właśnie ta postawa najskrajniej bezkompromisowa nadała charakter rewolucyjny ich utworom również i w sensie artystycznym. Nowa sztuka słowa, nowy ich artyzm były wynikiem nowych przeżyć, doświadczeń zbiorowych i wydarzeń historycznych, których czułymi mediami przewidującymi je w swoich utworach są zawsze poeci miary Villona i Baudelaire'a. Język podgleba społecznego staje się inspiracyjnym elementem ich inwencji poetyckiej rozsadzającej stare kanony sztuki słowa. Podstawowe formy poezji Villona to średniowieczna ballada, rondo i oktawa, a podstawowe formy poezji Baudelaire'a to klasyczny sonet i tetrastych o rymach parzystych, przeplatanych i obejmujących. To, co przesądza o nowatorstwie ich utworów, pisanych w konwencji form tradycyjnych, to społecznie zdeterminowana treść modyfikująca te formy i przekształcająca je w odkrywczą postać wyrazu artystycznego.

Obu poetów zaliczyć należy, jakbyśmy dziś powiedzieli, do marginesu społecznego. Villon, biedaczyna pochodzenia chłopskiego, był autentycznym włóczęgą i rzezimieszkiem — Baudelaire dobrze sytuowany młodzieniec pochodzenia inteligenckiego, był rozmyślnym nałogowcem i wykolejeńcem. Obaj z konieczności patrzyli na życie i społeczność, w której nie było dla nich miejsca, jak gdyby z boku, co pozwalało im ogarniać je w całości i osądzać z pozycji pozornie niezależnej miarą swoiście pojmowanej moralności. To było powodem ich społecznej anatemy i wyobcowania. Niezwykła poezja tych wyklętych, bo poza nawiasem ówczesnych norm i konwenansów egzystujących, poetów, była rekompensatą za osobistą niedolę i nędzę ich zmarnowanego życia.

II

Baudelaire urodził się w Paryżu, którego nie opuszczał prawie przez całe życie, prócz kilku lat we wczesnej młodości spędzonych w Lyonie oraz kilku miesięcy pod Pirenejami i na wyspach Oceanu Indyjskiego. Żył w okresie brzemiennym w wypadki społeczne i polityczne między rokiem 1821 a 1867. Był to czas gwałtownego awansu mieszczaństwa, agonii feudalnej artystokracji i narodzin nowoczesnego proletariatu. Baudelaire z racji swego pochodzenia inteligenckiego, a przede wszystkim z racji wyboru przez siebie misji niezależnego artysty, uważał, że nie należy do żadnej z tych formacji społecznych. Konsekwencją tej jego absencji i nonkonformizmu było wyobcowanie, które poeta potwierdzał świadomym aktem swojej woli. Jean Paul Sartre, autor analitycznego studium poświęconego Baudelaire'owi, twierdzi, że był to rodzaj perfidnej przekory poety wobec opinii publicznej, którą prowokował ustawiczną mistyfikacją, dając tym upust swej pogardzie dla czasu i społeczeństwa, w którym żył, ale jakby ponad nim, na marginesie spraw i dziejów ludzkich.

A przecież przeżył dwie rewolucje społeczne o znaczeniu i rezonansie światowym: lipcową w 1830 roku i czerwcową w 1848 — i choć w obu brał niejaki udział (w pierwszej jako zbuntowany uczeń, w drugiej jako przypadkowy agitator) żadnego one wpływu nie wywarły na jego twórczość, ani żadnego na niej nie zostawiły śladu. Nic z aktualnej kroniki ówczesnych wydarzeń nie znalazło miejsca w jego utworach — natomiast sam inwektywny ich charakter, ich ponura tonacja i cała filozofia negacji były kategorycznym potępieniem epoki użycia i cynizmu. Na tle kwietystycznej euforii Drugiego Cesarstwa ukazanie się Kwiatów zła było szokującym wyzwaniem oficjalnie panującej beztroski, kamieniem obrazy dla społeczeństwa, zamachem na rację jego istnienia, za co odpłaciło mu ono równą miarą lekceważenia i wzgardy.

III

Jest wiele zbieżnych momentów w charakterze twórczości Norwida i Baudelaire'a. Rzecz tym ciekawsza, że nie może być mowy o wzajemnym ich wpływie na siebie ze względu na obopólną w istocie swej obcość ich twórczości, których źródłem jest kondycja ludzka, a punktem odniesienia ich światopoglądów — Biblia. Łączy ich religijny stosunek do świata, ale u Norwida ten stosunek ma cechy afirmacji, a u Baudelaire'a sprzeciwu. Obaj za przyczynę nieszczęśliwych dziejów ludzkich uważają grzech pierworodny i reagują kontrastowo odmiennie: jeden wiarą w ingerencję Boga, drugi szatana. Dla jednego piękno jest kształtem miłości, dla drugiego nienawiści — w wymiarze ziemskim zarówno jak metafizycznym, co zresztą w praktyce na jedno wychodzi. Dlatego lucyferyczny charakter twórczości Baudelaire'a tak bardzo przypomina prometejski charakter twórczości Norwida i w ostatecznym przeznaczeniu Zła i Dobra jest z nim identyczny. Wszak starożytny Prometeusz to biblijny Lucyfer — obaj światłonoścy.

Dalsza wspólna ich cecha to szczególne uwrażliwienie na walory plastyczne i dźwiękowe słowa, co wynikało z ich zainteresowań i uzdolnień malarskich, rzeźbiarskich i muzycznych. Norwid sam malował i rzeźbił, a był pierwszym z literatów w Polsce, który się poznał na muzyce Chopina — Baudelaire pisał odkrywczo o malarstwie i rzeźbie, a był pierwszym z literatów we Francji, który poznał się na muzyce Wagnera. Ich metafory noszą charakter wizji malarskich, miary rytmiczne — sekwen-

Dalszy ciąg na str. 8

ROMAN ŁOBODA

„Zielone rękawice" w dobrym gatunku

TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ ZACZĄŁ SEZON REALIZACJĄ SZTUKI TYMOTEUSZA KARPOWICZA „ZIELONE RĘKAWICE". RYZYKOWNE PRZEDSIĘWZIĘCIE ZOSTAŁO NIE TYLKO AMBITNIE, LECZ ROWNIEŻ Z SUKCESEM ZREALIZOWANE.

Już odczytanie utworu nastręcza pewne trudności, bowiem jego balladowość oparta na obyczajowości i okrutnym kolorycie średniowiecza, to niby tylko zewnętrzny kanon estetyczny poematu. Zewnętrzny, ale przy dużym zagęszczeniu znaczeniowym metafor on właśnie decyduje czy utwór staje się na scenie zwartym, harmonijnym i stylowym dziełem sztuki. Plastyka i płynność scen, tempo i właściwy gest, te elementy w zasadniczy sposób rozstrzygają o artystycznej randze przedstawienia. W tej warstwie — strukturze reżyser **Aleksander Strokowski**, scenograf **Czesław Siekiera** — wykazali wiele smaku, tworząc obraz prosty, lecz kolorowy, niekiedy nawet ascetyczny w funkcjonalności. Surową prostotę dekoracji ożywiała barwność kostiumów, a trafność rekwizytów osadziła obraz w epoce. Na tym tle bujność średniowiecznych zachowań uzyskiwała właściwy walor, nie musząc go (tła) przekrzykiwać.

W pierwszej odsłonie może zbyt natrętna i hałaśliwa wydała mi się gra w kości Błażeja z Łuką, ta również odsłona ma chyba zbyt wolne tempo.

Daleko posunięte odrealnienie fabuły utworu nie zaszkodziło, przypuszczam, balladzie, której konflikt jest podporządkowany moralowi zawartemu w głębszej warstwie utworu.

Moralitet w utworze Karpowicza służy głównie stylizacji, a wyabstrahowanie go pozwala zbliżyć się odbiorcy — jeżeli go na to stać — do drugiej warstwy poematu, do współczesności.

Otóż ta druga warstwa, rzec można, poetycko-filozoficzna, jest zbudowana z wielkiej mnogości metafor, paraboli i symbolów poetyckich, których jednoznaczne odczytanie wydaje się zgoła niemożliwe.

Karpowicz przemawia wieloma odmianami potyckich znaczeń, wtapiając je w obraz, którego „ikonowata" bujność, koloryt i morał, już bez drażenia w głąb, w znaczenia, pobudza i zaspokaja nasze podstawowe umiłowanie dobrego teatru.

Bonifacy — M. Harasimowicz, Przeor Symeon — J. Staszewski, Barnaba — T. Kożusznik. Fot. Fr. Myszkowski

Obrazoburcze postawienie problemu walki dobra ze złem, nawet w warstwie balladowej, stwarza pewne niebezpieczeństwa uproszczeń w odbiorze nie wyrobionego widza, toteż dobrze się stało, że inscenizacja odrealnia istotę tej walki. Nie można przecież zapominać, że TZŁ posiada tylko jedną scenę, służącą głównie wyjazdom w teren.

Dlatego właśnie wystawienie „Zielonych rękawic" nazwałem na wstępie ryzykownym przedsięwzięciem, teraz zaś twierdzę, że twórcy przedstawienia pokonując ryzyko realizacji, zmniejszyli ryzyko konfrontacji z terenem do możliwego minimum.

Ale cóż z tą warstwą filozoficzno-znaczeniową? Niewątpliwie ambitniejszy, czy bardziej dociekliwy widz teatralny zada sobie szereg pytań podczas — czy po przedstawieniu, na które nie znajduje jednoznacznej odpowiedzi. Podejrzewam, że również autor nie miał zamiaru dawać jednoznacznej odpowiedzi na odwieczne pytanie: jak uszczęśliwić człowieka? Gdzie jest ten magiczny znak, rzecz lub nawet idea, której by nie zniszczyły złe ręce, złe serca i nędzne umysły?

Karpowicz na te pytania nie odpowiada wprost. Odwołując się do przeszłości ukazuje wszystkie siły niszczące dobrą ludzką wolę, odnaleziony znak, rzecz, idee. Demaskuje pozory. Diabeł może być diabłem albo nie, przeor może być przeorem albo nie. Nieważne kto jakie imię sobie przybiera, ważne jest działanie. W tym działaniu jest idea, w tej idei jest działanie. Zielone rękawice, to idea, którą podjąć może tylko ten, kto ją kocha i rozumie. „Sylweriusz, diabeł albo nie" obnażył wszystkie ludzkie słabości. Obnażył też swoją ludzką naturę: swoją miłość, ból i rozczarowanie. Przypomina się: „miałeś chamie złoty róg" z „Wesela". Symbolizm Karpowicza jest też w tej warstwie asocjacyjnej, a także w zagęszczeniu znaczeń, które spiętrzając się w paradoksy znoszą prawdę dyskursu, a pozostawiają prawdę odczuć, jest w tej warstwie bliski poetyce Wyspiańskiego.

Karpowicz nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie zawarte w swej „przewrotnej" balladzie. Chociaż: idea dotknięta złymi i chciwymi rękami traci swą moc. Dukaty zamieniają się w kamienie.

Sylweriusz to rola duża. Bogactwo środków wyrazu, które można w niej zawrzeć, jest ogromne. Toteż nie mam pretensji do **Bogdana Juszczyka**, że tylko w części „magicznej" uniósł ciężar tej roli. Był chłopięcy i beztroski, jako szczęśliwy gracz, szczęśliwy kochanek i zdobywca dusz, chociaż i tutaj szczęście już rzucało swój cień złowrogi, czego Sylweriusz zdawał się nie zauważać. Nieco bardziej zróżnicowana gra twarzy, a głównie oczu, przydałaby się w tej części.. Młody aktor ujmował swobodą ruchu i modulacją głosu.

Nie jestem pewien, czy starszy i wytrawny aktor umiałby znaleźć silniejsze, ale nie odbiegające od charakteru postaci, środki wyrazu dla dramatycznych, a nawet tragicznych przeżyć Sylweriusza w drugiej części poematu. Mam nadzieję, że nie jest to sprawa przesądzona. Tym bardziej, że spisuje swoje wrażenia z generalnej próby.

Zaimponował **Jerzy Staszewski** również w bogatej roli Symeona, przeora. Był to przeor krwisty i wielopłaszczyznowy. Zarówno kwestie kłamliwe, jak i żarliwe brzmiały bez fałszu, pobrzmiewając tylko delikatnym echem balladowej umowności. Wyrazistość twarzy i gestu w kilku scenach była najprzedniejszej marki. Również znakomita dykcja sprawiała, że przeora nie tylko jeszcze się pamięta, ale i słyszy.

Włodzimierz Tympalski pokazał się ze zgoła innej strony, udowadniając, że teatr objazdowy, to nie tylko trud bez blasku, i niewygoda; to chyba także dobra szkoła aktorstwa. Bardzo charakterystyczna rolę Łuki, chłopca wiejskiego, przygłupka rozegrał Tympalski sugestywnie, nie popadając przy tym w banalną, komediową przesadę. Proste środki mimiczne, konsekwentnie stosowane stworzyły plastyczny obraz postaci. Błażej, wójt, to znów powód do zadowolenia. Taki to właśnie wójt balladowo-nieballadowy miał być. Targały nim małe „gminne" namiętności, małe zło i małe dobro, a jakiż to duży trud aktorski, by nie popaść w wielkość.

Nie sądzę, że popadam w przesadę, zwracając jeszcze uwagę na rolę Barnaby i Bonifacego, braciszków zakonnych **(Tadeusz Kożusznik i Marian Harasimowicz).** Szczególnie ten ostatni mógł się podobać. Metamorfoze z potulnego i zahukanego braciszka w rozzuchwalonego mściciela własnego tchórzostwa zademonstrował z dużym wyczuciem i ekspresją.

Wreszcie jedyna w tym zespole płeć piękna, Matylda, siostrzenica przeora, w kreacji **Marii Niedźwiedzkiej.** Rola to nie tyle inspirująca co trudna. I tu mam pretensję raczej do autora. Matylda to niby poetycki (dziecinność, naiwność, zwiewność) obraz kobiecej przewrotności, w zasadzie zaś usymbolizowany stereotyp najbanalniejszych ułomności niewieścich, w infantylnym, pozbawionym nośności scenicznej wydaniu. Ani tu symbol ani konkret jest do wygrania. Taka mała, zagubiona żeńska duszyczka w środku mocnych, ludzkich spraw. Można i tak, ale odstaje od całości kompozycyjnej utworu.

Na koniec raz jeszcze o dobrodziejstwie gościnnych reżyserii oraz inteligencji i sumienności w traktowaniu teatru. **Aleksander Strokowski** przy „akompaniamencie" **Czesława Siekiery** i z muzyką **Piotra Hertla,** stworzył, wraz z całym zespołem, przedstawienie ambitne i niebanalne, pokonując udanie utrudnienia utworu. I jeżeli nawet w terenie nie spotka się sztuka z większym aplauzem, to już sam fakt sprawdzenia się zespołu w tak niełatwej sztuce ma duże znaczenie dla dalszej pracy teatru.

Poeta kwiatów zła i dobra

Dalszy ciąg ze str. 7

cji dźwięków muzycznych, a strukturę ich wierszy cechuje bryłowatość kształtów rzeźbiarskich. Tematem wielu utworów Norwida i Baudelaire'a jest malarstwo, rzeźba i muzyka. Także taniec. Także architektura. Nawet ruiny. Nigdy maszyna ni technika, które w rękach warstw uprzywilejowanych są wykładnikami cywilizacji przeczącej kulturze. Groźba przerostu cywilizacji nad kulturą, aktualny problem współczesności, znalazła nie jeden przejmujący wyraz w ich utworach.

Ale są też i diametralne wprost różnice między nimi. Upodobniają ich one — o paradoksie! — przez kontrast. Baudelaire lekceważył opinię — opinia lekceważyła Norwida. Baudelaire osądzał współczesność w imię przeszłości, Norwid w imię przyszłości. Norwid w nią wierzył, Baudelaire wątpił. Norwid upatrywał czynników rozwoju we współdziałaniu i ewolucji, Baudelaire w anarchii i regresji. Wreszcie macierzystą glebą poezji Norwida jest inspiracyjna wizja Renesansu, zaś poezji Baudelaire'a defetystyczna makabra Średniowiecza.

IV

Twórczość Norwida jest wyrazem optymistycznej wiary w przyszłość, tej korektorki niestatecznej teraźniejszości, obciążonej atawizmami przeszłości. Twórczość Baudelaire'a — wprost przeciwnie — jest wyrazem fatalistycznej niewiary w przyszłość, absolutnej negacji teraźniejszości, tej poczwarnej karykatury doskonałej — jego zdaniem — przeszłości. Dla Baudelaire'a przyszłość w ogóle nie istnieje. Zgodne to jest z jego lucyferycznym poglądem na świat, szatan bowiem nie ma przed sobą żadnej przyszłości, ma tylko wspomnienia utraconego raju. Według Norwida doskonalsza od teraźniejszości przyszłość nadaje sens aktualnej naszej egzystencji, zaś według Baudelaire'a odwrotnie — doskonalsza od teraźniejszości przeszłość deprecjonuje sens jakiejkolwiek w ogóle egzystencji. Stąd każdy utwór Norwida to testament przyszłego czynu, a każdy wiersz Baudelaire'a to zapis aktu zejścia. Próba egzystencjalistycznej interpretacji twórczości i życia Baudelaire'a, dokonana przez Sartre'a, dowiodła, że autor Kwiatów zła, był ofiarą fałszywej autokreacji. Jej źródłem była samoudręka wiecznego przeczenia, totalnej negacji za wszelką cenę — nawet nicości — ale w imię czego? To jest granica, poza którą zaczynają się, jeśli chodzi o twórczość, same istotne różnice. Zewnętrzne analogie, wynikłe z przypadkowych zbieżności dat biograficznych i losów poetyckich obu poetów, dla ich twórczości nie mają żadnego znaczenia. Obaj wystąpili w niefortunnym dla siebie momencie, gdy już — jak to określił Norwid — „ni miejsca dawano, ni godzin dla nieczekanych powić i narodzin". Zbyt wielkich zastali przed sobą poprzedników i zarazem rywali (jak Norwid Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego tak Baudelaire Wiktora Hugo, Teofila Gautier i Teodora de Banville), by nasycone już genialną ich twórczością zainteresowanie czytającej publiczności mogli byli zwrócić jeszcze i na siebie. Baudelaire we Francji (podobnie jak Norwid w Polsce) wystąpił w okresie przejściowym między dwiema formacjami historycznymi, kiedy nowe warstwy społeczne nie były jeszcze dość silne, a stare dość słabe, kiedy nowy model wrażliwości publicznej jeszcze się nie ukształtował, a stary jeszcze nie zupełnie się przeżył. Ale te okresy przejściowe we Francji i w Polsce tak się różniły między sobą jak różnił się Norwid od Baudelaire'a, zaś zewnętrzne analogie między, na przykład, romantyzmem francuskim a polskim, albo naturalizmem polskim a francuskim, niczego nie mówią o istocie tych zasadniczych prądów literackich, z których jeden otwierał, a drugi zamykał wszechstronnie wielki wiek XIX.

V

A jednak Juliusz Wiktor Gomulicki, najwybitniejszy dziś znawca Norwida, dopatrzył się w jego twórczości wpływów Baudelaire'a. Wprawdzie za pośrednictwem wspólnego źródła ich inspiracji, jakim było — według niego — arcydzieło Dantego Boska komedia. Obaj byli poetami miary dantejskiej. Norwid pisał o limbach czyli o przedsionkach piekła, Baudelaire zaś swój jedyny tom wierszy, wydany pod tytułem Kwiaty zła, zamierzał pierwotnie nazwać mianem Limbów. Norwid swój jedyny tom wierszy, ułożony w zwartą całość ideowo-artystyczną, wydany w dziesięć lat po Kwiatach zła, nazwał Vade-mecum, a więc słowami, którymi Wergiliusz zwraca się do Dantego w jego poemacie. Prawdopodobnie Norwid czytał Baudelaire'a, poetę przecież dość głośnego w Paryżu, zwłaszcza po jego procesie z powodu Kwiatów zła. Musiał Norwida uderzyć ów ton dantejski w dziele Baudelaire'a, choć dziwnie zawężony do pierwszej tylko części tej, zaiste, boskiej komedii. Powodowany właściwym sobie duchem pryncypialności odpowiedział mu jakby w obronie pełnej wymowy dzieła Dantego swoim zbiorem Vade-mecum.

Tak więc mimo zewnętrznego podobieństwa Kwiatów zła i Vade-mecum dzieli je wewnętrzne przeciwieństwo treści. Baudelaire w swoim dziele mówi o egzystencji doli ludzkiej, Norwid o jej istocie. W gruncie rzeczy jasna muza Dantego była jaskrawym przeciwieństwem ciemnej muzy Baudelaire'a. Norwid podobnie jak Dante wierzył w rzeczywistość ostatecznie zwycięskiego Raju, Baudelaire tylko w rzeczywistość doraźnie zwyciężającego Piekła — reszta była dla niego tworem złudnej imaginacji. Dlatego był poeta sztucznych rajów jako rekompensaty za brak rzeczywistych.

VI

Złotym okresem mieszczańskiej dominacji politycz

Półka z książkami

NATURA KOTA

Skomplikowana i niełatwa do zrozumienia natura kota jest — w gruncie rzeczy — w wielu punktach zbieżna z niektórymi cechami przypisywanymi ludziom. Dlatego ci ostatni niejednokrotnie celowo i świadomie tworzą klimat nieufności i niechęci wokół kotów, pragnąc obronić swą wyjątkową i dominującą pozycję wśród organizmów żywych. Do dziś nie brak przesądów, czy nawet krzywdzących plotek, jakimi człowiek stara się obniżyć rzeczywistą wartość intelektualną i społeczną istoty, która nie bez istotnych powodów była ongiś uznawana za boską. Ten stosunek do kotów jest przyczyną, dla której brak jest niemal całkowicie poważnych i gruntownych badań w dziedzinie felitologii. Nieliczne tylko prace zasługują na przytoczenie — jak np. świetne, choć zbyt mało pogłębione dzieło R. Kiplinga, czy — z autorów polskich — niektóre opracowania J. Grabowskiego, też zresztą obarczone wadą zbytniej antropomorfizacji i spłycania psychiki kociej.

Dopiero badania T. S. Eliota doprowadziły do najdalej idącego poznania przedmiotu. Dzieło tego autora, przyswojone polskiemu czytelnikowi przez A. Nowickiego i wydane ostatnio przez „Naszą Księgarnię" jest pod każdym względem doskonałe. Przede wszystkim należy podkreślić wysokie walory metodologiczne, dzięki którym tok rozważań autora jest przejrzysty a wnioski i oceny niepodważalnie uargumentowane i całkowicie przekonywające.

Pracę rozpoczyna wstępne zarysowanie wysokiego stopnia komplikacji natury kota („Kocie imiona"). Dalej następuje prezentacja wielu różnych rodzajów charakterów, egzemplifikowanych przykładami empirycznymi. Poznajemy więc osobników traktujących życie i obowiązki społeczne lekko, kapryśnych i egoistycznych („Ramtam tamek"), żądnych użycia i zabawy („Pieśń Kocilapciów"). Autor przedstawia z kolei natury refleksyjne, zgłębiające sens bytu („Stary Matuzalek") lub ocenia jące racje społecznych do konań („Kot teatralny"). Ukazuje także jednostki zajmujące aktywną postawę życiową, czynne w dziaalności kulturotwórczej („Pan Mefistofeles") lub służące społeczeństwu („Kot wagonów sypialnych"). Wreszcie nie brak i osobników przeciwstawiających się zastałym formom i układom społecznym („Tajemniczy kot Makawity"). Dzieło kończy próba ogólnej charakterystyki kota, jego roli w świecie oraz postulaty zasad stosunku człowieka do kota („Jak zwracać się do kota").

Ogromne walory poznawcze omawianej pracy podkreślone zostały przez przyjęcie jako formy wypowiedzi — artykulacji poetyckiej. Tekst nadto wzbogacony został szeregiem tablic poglądowych, wykonanych przez J. Grabiańskiego, który wyjątkowo umiejętnie przedstawia graficznie cechy psychiczne kotów. Jest to efekt skutecznych starań edytorskich wydawnictwa.

Reasumując — dzieło T. S. Eliota jest wybitnym osiągnięciem felitologii współczesnej i pracą prawdziwie znaczącą.

NFP

T. S. Eliot: Wiersze o kotach. Tłum. A. Nowicki. Ilustr. J. Grabiański. Nasza Księgarnia 1970. Cena zł 20.—

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- ★ **ZYGMUNT FIJAS — Suita na hydrofor, trąbkę, podkowę i zapachy.**
- ★ **KONRAD FREJDLICH — Więc to Berlin**
- ★ **WASYL KOCZNOW — Stare i nowe w rosyjskiej literaturze radzieckiej**

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna.

ANDRZEJ BARBUS

„Nasze szaleństwo" czyli jak się doi naiwnych

Nareszcie ze Stolicy zjechali do naszego zapadłego partykularza prawdziwi Artyści. Nieduża i taplająca się we własnym sosie mieścina miała przyjemność i zaszczyt gościć Sławy estrady, gejzery humoru, Himalaje dowcipu. Kilkanaście dni wcześniej duże afisze na uliczkach miasta, anonse w naszej prowincjonalnej prasie zapowiadały, że już niedługo, że już wreszcie. Jednym słowem — stołeczny Teatr „Syrena" raczył przybyć i dać program pt. „Nasze szaleństwo". I rzeczywiście, Artyści przybyli, zgarnęli kupę forsy i odjechali. Tyle, że nie zostawili po sobie żalu i tęsknoty, a niesmak i atmosferę skandalu.

Porzućmy jednak ton sarkastyczny i przejdźmy do rzeczy, bo ciekawa i charakterystyczna. Program „Nasze szaleństwo", przygotowany został z myślą o uświetnieniu jubileuszu 25-lecia wyzwolenia Warszawy. Zmontowano więc dużą rewię, obsadzając w poszczególnych rolach weteranów polskiej estrady, wielce zasłużonych dla jej rozwoju i przydano im dla okrasy kilkanaście miłych, ładnie rozebranych dziewcząt. Intencja i pomysł zapewne godne uznania, ale już w trakcie przedstawienia okazało się, że nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością. Warszawskie wspominki, obrazki rodzajowe z dalszej i bliższej przeszłości absolutnie nie komponowały się z układami tanecznymi rodem z paryskiej „Alhambry" czy „Olimpii". Wielokrotnie już prezentowane w radio, telewizji i na estradach teksty satyryczne, nawet nam prowincjuszom wydały się mocno zmurszałe. Wszyscy wiemy dorze, że winniśmy Stolicy względy specjalne, cześć i miłość bez granic, ale nie da się ich pogłębić przy pomocy banalno-sentymentalnych, ckliwych i cwaniackich nawoływań.

Stwierdziwszy, że idea główna jubileuszowego music-hallu nie wypaliła, przyjdzie wreszcie powiedzieć wyraźnie, że nieporozumienie z „Syreną" polega nie tyle na tym co pokazano, ale przede wszystkim jak pokazano. Zrobiono to z pełnym lekceważeniem widza. Oszczędzając siły Artystów i p. muzyków nagrano po prostu znakomitą część widowiska na taśmę magnetofonową, a wykonawcy mieli za zadanie markować jedynie śpiew i poprawnie „trafić" w odtwarzane teksty. Tym, że nie zawsze ruch i gest zgadzały się z melodią i tekstem p. p. Artyści specjalnie nie przejmowali się. Ludzie to kupią! Magia nazwisk, renoma teatru (w pewnych środowiskach) zrobić miały swoje. A nie zrobiły. Okazuje się, że nawet uznane wielkości muszą widza i słuchacza szanować.

Jeden z moich znajomych, człowiek dobrotliwy usiłował przekonać mnie w czasie przerwy, że winienem szacunek siwym włosom, że trzeba zrozumieć, iż siły ludzkie nie są niespożyte, że przecież Solski itd., itp. Zadumałem się przez chwilę i już miałem spytać dlaczego w takim razie młodym i hożym panienkom i panom z baletu nie chce się tańczyć i tylko przed nami udają, że są bez reszty oddani nieskomplikowanym układom tanecznym, dlaczego jeden z panów przeżuwał jeszcze na scenie podwieczorek, dlaczego dwie tancerki uporczywie wymieniały półgłosem uwagi, dlaczego...? Et, machnąłem w końcu ręką i usiadłem na swoim miejscu, by dalej dławić się żółcią. Tłumaczenie, że artyści są niewinni, że inne miały być warunki, inna sala nie wytrzymuje próby krytyki. Bo co w końcu widza nie wtajemniczonego w zakulisowe i pozaartystyczne rozgrywki może to obchodzić. Widz płaci (w tym wypadku nader słono) i wymaga. Wymaga, biorąc na siebie obowiązek kulturalnego zachowania się w teatrze takiego samego kulturalnego zachowania na scenie. Widz nie znosi bałamuctwa, lekceważenia i wystawiania do wiatru. Problem polega i na tym, że prócz zawiedzionych kilku tysięcy ludzi krzywdę zrobiono rzeczywiście dobrym aktorom. Odjęto im tu, w Łodzi, kilka kolorów z barwnej legendy.

Kto mi w końcu wyjaśni dlaczego zapowiadana w afiszu Irena Kwiatkowska (zdaniem KTT jedyny jasny punkt tej rewii) nie wystąpiła? A może ja poszedłem na „Syrenę" tylko dla niej!

P. S. Morze atramentu wypisano już na temat drenażu łódzkich talentów. Nie wszystkim jednak warszawska emigracja wychodzi na dobre. Znany w Łodzi, zdolny aktor estradowy pan P. w „Syrenie" stanowi, wraz z innymi panami, zaledwie tło do popisów, na pewno nie lepszych od niego, warszawskich solistów.

---

nej, obyczajowej i kulturalnej we Francji było Drugie Cesarstwo, w którym pasożytnictwo społeczne na każdym polu, a także sztuki, święciło swoje szczególne sukcesy. Nic dziwnego, żyło przecież małpowaniem Pierwszego Cesarstwa. Wielkość naśladowana, a więc nie autentyczna, może być tylko karykaturą, gest udawany — mimowolną groteską. W ustroju takiego społeczeństwa nie było miejsca dla poety, który nie był chwalcą i pochlebcą, lecz nastawiony krytycznie dostrzegał jego ugarnirowaną nikczemność i tym samym podważał jego autorytet, jego sens egzystencjalny. Taka postawa artysty uważana była za bezprawną uzurpację i karygodną ingerencję w nieswoje sprawy.

Za niezwykle zuchwały wyraz takiej ingerencji uznano zbiór wierszy, który się ukazał w roku 1857 pod nazwą Kwiaty zła. Już sam tytuł mógł być odczytany jako przejrzysta aluzja do ówczesnego ustroju, który pod pozorami kwiatów krył rodzące je bagno. Sam autor zbioru nie ukrywał, że tak właśnie należy rozumieć jego tytuł, skoro zaraz we wstępnym wierszu Do Czytelnika atakuje go od strony jego najgorszych instynktów i wynaturzeń, a w następnym wierszu Błogosławieństwo piętnuje społeczeństwo za bestialsko przewrotny stosunek do poety jako istoty z natury dobrej i bezinteresownej. Cała łość tomu, który w pierwszym wydaniu, prócz wiersza wstępnego, zawierał sto utworów wzorem stu pieśni arcydzieła Dantego, podzielony został na pięć części (w drugim wydaniu na sześć) osobno i znacząco zatytułowanych: Splin i Ideał, (Obrazy paryskie,) Wino, Kwiaty zła, Bunt, Śmierć. Po nich to jak po coraz niższych kręgach dantejskiego piekła zstępował poeta w głąb współczesnego mu społeczeństwa, malując z siłą nie spotykanej dotąd w poezji francuskiej plastyki słowa, przerażające obrazy jego dekadencji fizycznej, rozkładu duchowego i upadku moralnego, przy czym Paryż przedstawił jako centralne dno tego nowoczesnego piekła na ziemi.

Wzburzona opinia mieszczańska spowodowała oskarżenie Baudelaire'a o umyślną obrazę moralności publicznej i wykroczenie przeciw zasadzie dobrych obyczajów. Sąd skazał autora na karę grzywny i nakazał konfiskatę w inkryminowanym tonie sześciu najbardziej jego zdaniem skandalicznych utworów o tytułach: Lesbos, Potępione, Leta, Do tej co zbyt wesoła, Klejnoty i Przemiany wampira. Ponad pół wieku, bo aż do roku 1911, trwała urzędowa restrykcja co do publikacji tych utworów, a oficjalne jej uchylenie nastąpiło dopiero w roku 1949.

VII

Inaczej jednak, niż sąd, zareagowała na Kwiaty zła krytyka literacka i opinia samych pisarzy. Krytyka stwierdziła, że pojawiło się dzieło niezwykłe, przełomowe dla dotychczasowych pojęć o poezji, otwierające nowe przed nią drogi i możliwości, odmienne w swej funkcji społecznej. Sam Wiktor Hugo powitał tom poety w entuzjastycznym liście do niego tymi słowami: „Stworzył Pan nowy dreszcz... Ma Pan duszę szlachetną i wspaniałe serce. Napisał pan rzeczy głębokie i szczere. Pan kocha Piękno. Proszę mi podać dłoń".

Ten „nowy dreszcz" w poezji francuskiej był bezsprzeczną inicjatywą Baudelaire'a, ale w literaturze światowej owego czasu nie był jedynym. Poprzedził go w Ameryce o lat kilkanaście pokrewny mu losem życia i charakterem twórczości Edgar Allan Poe, którego wiersze i utwory nowelistyczne, pełne enigmatycznej grozy i niesamowitości, Baudelaire przyswajał francuszczyźnie od blisko już lat dziesięciu, a wydał je w osobnym tomie w roku 1856, a więc na rok przed wydaniem Kwiatów zła. Te pierwsze przekłady francuskie utworów zaoceanicznego poety odegrały poważną rolę w rozwoju nowej przede wszystkim prozy europejskiej. Nie był wolny od ich wpływu rosyjski rówieśnik Baudelaire'a, Teodor Dostojewski, również pisarz wyklęty, ze swą manicheistyczną koncepcją zła i dobra, tematyką z pogranicza dewiacji i marginesu społecznego, z lucyferyczną filozofią dziejów. Dziś, kiedy się mówi o przemożnych wpływach dostojewszczyzny na współczesną prozę i jej awangardowe kierunki, zapomina się o właściwych jej impulsach w utworach Edgara Poe i Baudelaire'a.

Niektórzy z krytyków i poetów dopatrują się wpływu amerykańskiego poety na Baudelaire'a ze względu na pewne podobieństwo ich losu życiowego i charakteru ich twórczości. Znakomity przedstawiciel symbolizmu francuskiego, Paul Valery, twierdzi na przykład, że twórczość Edgara Poe była głównym czynnikiem przemian zachodzących w teoriach i sztuce Baudelaire'a. Drobiazgową analizą twórczości obu poetów zbija doszczętnie to twierdzenie Marcel A. Ruff, autor najnowszej monografii, poświęconej twórcy Kwiatów zła. Nie z żadnych obcych inspiracji, lecz z chaosu i sprzeczności własnej natury wyprowadził Baudelaire niezwykle harmonijne i artystycznie odkrywcze utwory poetyckie, w których wnętrzu pulsowała gorąca od aktualności lawa problemów człowieka współczesnego. Twórczość Baudelaire'a stała się źródłem wszystkich przodujących kierunków w poezji światowej. Artur Rimbaud nazwał go „pierwszym jasnowidzącym, królem poetów, prawdziwym Bogiem". Stefan Mallarme uważał go za swego mistrza pisząc o nim sonet, Rainer Maria Rilke uczcił go specjalnym wierszem, a Thomas Stearns Eliot napisał o nim: „Jest on największa postacią w nowoczesnej poezji wszystkich krajów, ponieważ jego wiersz i jego język wyrażają najdalej idące nowatorstwo naszych czasów".

Liczne są ślady autora Kwiatów zła w literaturze polskiej. Znać je w utworach Jana Kasprowicza (w Hymnach i w O bohaterskim koniu i walącym się domie), Stanisława Wyspiańskiego, Tadeusza Micińskiego, a Bolesław Leśmian wyznaje wprost: „Jeżeli chodzi o poetów francuskich, to jedynym, który wpłynął na mnie naprawdę, był chyba Baudelaire". Nie pozostała bez wpływu Baudelaire'a poezja Juliana Tuwima, a także Władysława Broniewskiego, który nawet osobny wiersz o nim napisał. Spora ilość tłumaczeń z pozoru łatwych, lecz wskutek wewnętrznego bogactwa znaczeń poetyckich bardzo trudnych wierszy Baudelaire'a, świadczy o wciąż żywej popularności jego utworów wśród pisarzy i miłośników poezji w Polsce.

Cytowany przed chwilą T. S. Eliot powiada, że „świadomość zła jest nieodłączna od świadomości dobra". Baudelaire wiedział i niejednokrotnie pisał o tym, że jedynie właściwą reakcją czytelnika na jego poetyckie kwiaty zła może być tylko wzmożona tęsknota do realnych kwiatów dobra.

MARIAN PIECHAL

LISTY DO REDAKCJI

REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „ODGŁOSY"

W związku z artykułem Redaktora Karola Badziaka pt. „Jak ukraść milion" („Odgłosy" nr 33/70) Zakład Doskonalenia Zawodowego dla m. Łodzi i województwa łódzkiego wspólnie z Izbą Rzemieślniczą w Łodzi uprzejmie wyjaśniają:

Budynek przy ul. Łąkowej 4 został przekazany Izbie Rzemieślniczej w Łodzi, w oparciu o przepisy dekretu z dn. 8 marca 1946 r. o majątkach opuszczonych i poniemieckich.

W dniu 1 stycznia 1947 r. Izba Rzemieślnicza w Łodzi jako użytkownik i zarządca w/w nieruchomości, działając w oparciu o obowiązujące wówczas przepisy zawarła z byłym Instytutem Doskonalenia Zawodowego Rzemiosła w Łodzi umowę o bezpłatnym najmie i użytkowaniu nieruchomości przy ul. Łąkowej 4.

Posesja ta znajduje się obecnie we władaniu Zakładu, który dokonywał i w dalszym ciągu dokonuje wszelkich remontów związanych z eksploatacją budynku.

W r. 1966 Izba Rzemieślnicza w Łodzi uzyskała orzeczenie Sądu ostatecznie przyznające jej własność budynku (nieruchomości) w drodze zasiedzenia i w ten sposób uregulowała w sposób ostateczny swój tytuł własności do w/w nieruchomości, ujawniając to w księdze wieczystej.

Zakład Doskonalenia Rzemiosła natomiast (obecnie Zakład Doskonalenia Zawodowego w Łodzi) we wnioskach z dnia 9. X 1958 r. i z dnia 27 marca 1959 r. domagał się dokonania wpisu hipoteki zabezpieczającej nakłady w wysokości 441.617,15 zł na wyżej wymienionej nieruchomości z tytułu nakładów eksploatacyjnych, poczynionych na tejże nieruchomości w okresie od 1952 r. do 1958 r.

Powyższy wniosek przez Państwowe Biuro Notarialne w Łodzi nie został uwzględniony Postanowieniem z dnia 12. 6. 1969.

Dopiero potem Izba Rzemieślnicza uważała za możliwe skuteczne wystąpienie do Zakładu Doskonalenia Zawodowego o czynsz za przedmiotową nieruchomość, z tym, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa cywilnego, żądanie mogło dotyczyć jedynie okresu 3 lat wstecz.

Ponieważ jednak Postanowienie Państwowego Biura Notarialnego w Łodzi z dnia 12. 6. 1969 r. zostało na wniosek ZDZ zaskarżone przez Prokuratora Generalnego w trybie rewizji nadzwyczajnej i w dniu 6 lipca 1970 r. Orzeczeniem Sądu Najwyższego Izby Cywilnej w Warszawie uchylone, a sprawa przekazana PBN w Łodzi do ponownego rozpoznania, sprawa rozliczeń z tyt. najmu przedmiotowej nieruchomości jest w dalszym ciągu sprawą otwartą.

Wobec powyższych faktów uważamy za nieporozumienie umieszczenie tej sprawy w artykule „Jak ukraść milion" wspólnie z pospolitymi oszustami i złodziejami mienia państwowego.

Zamieszczając w artykule o tak sugestywnym tytule nie sprawdzonych i nie opatrzonych żadnym komentarzem wiadomości, dotyczących rozliczeń między dwiema instytucjami, jest niczym innym jak wprowadzaniem w błąd opinii publicznej i działaniem na szkodę dobrego imienia obu instytucji, sugerując aferę kryminalną, tam, gdzie ona nie istnieje.

Dyrektor
mgr Stanisław Michalski

Wiceprezes Izby
Czesław Małaszkiewicz

★

Jest to bardzo interesujący i chyba jedyny w swoim rodzaju list. Dwie instytucje społeczne, prowadzące z sobą zaciekły spór na tle finansowym, który oparł się aż o Sąd Najwyższy Izby Cywilnej w Warszawie — pojednały się wobec prasy i napisały wspólne wyjaśnienie.

Przypomnę, że artykuł „Jak ukraść milion" traktował o niefrasobliwości w kwestiach finansowych.

Brak odpowiedzialności i skrupulatności w przestrzeganiu przepisów finansowych może prowadzić do nadużyć — taka była główna myśl tego artykułu. Nie była to nawet myśl zbyt odkrywcza z mej strony, ale znalazłem i podałem szereg przykładów, gdzie bałagan w przedsiębiorstwie zachęcił jednostki o słabszym charakterze do dokonania nadużyć na bardzo wysokie sumy. Akcent położony był na bałagan jako potencjalne źródło nadużyć. W przypadku Izby Rzemieślniczej nie było mowy o żadnych nadużyciach, lecz o braku nadzoru finansowego w egzekwowaniu czynszu od Zakładu Doskonalenia Zawodowego. Nadesłane pismo nie kwestionuje tego.

A więc o co chodzi? O tytuł artykułu? Zarzut niepoważny. Poważny natomiast jest zarzut pod moim adresem, że wiadomość jest nie sprawdzona. Przyznaję, napisałem, że Izbie Rzemieślniczej należy się od ZDZ trzy miliony złotych, gdy tymczasem dokładnie suma ta wynosi 3.800.000 z groszami.

Pismo wyjaśnia, że Izba nie występowała dotychczas o uregulowanie należności, ponieważ Zakład Doskonalenia „domagał się dokonania wpisu hipoteki zabezpieczającej nakład w wysokości 441.617,15 zł na wyżej wymienionej nieruchomości z tytułu nakładów eksploatacyjnych..." Proszę porównać daty, a okaże się, że starania te trwały dziesięć lat: od 1958—59 do 1969 roku. Fakt, że aż dziesięć lat zalatwiano w sposób biurokratyczny sprawę stosunkowo łatwą, ma więc być usprawiedliwieniem. Zresztą jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Tam chodzi o uwzględnienie wydatków poczynionych przez ZD w latach 1952—58, a tu o czynsz komorniany za ostatnie cztery lata. Uwzględniając zaś prekluzję — za trzy lata. Nie można powiedzieć, żeby Izba Rzemieślnicza dbała o swe własne interesy, jeśli dopuściła do przedawnienia i straciła w ten sposób ponad milion złotych. (Dokładnie 1.250.000 zł). Oczywiście — to sprawa Izby, a nie moja, podaję ten drobny szczegół tylko po to, ażeby wykazać, że wiadomości moje na ten temat są dość rzetelne. Sprawdzone i to dokładnie. Wiem nawet, że między Izbą Rzemieślniczą a Zakładem Doskonalenia Zawodowego nie ma żadnej umowy obowiązującej, gdyż stara umowa z 1947 roku wygasła w 1955 lub 1956 roku. Ale to jest sprawa odpowiedzialności kierownictwa, głównego księgowego i radców prawnych Izby Rzemieślniczej. Jest to również sprawa działania instytucji społecznej. Doprowadzono do tak wysokiej kapitalizacji czynszu (3.800.000 zł), że Zakład Doskonalenia Zawodowego praktycznie stał się niewypłacalny. A więc został uzależniony od Izby i stanął w obliczu bankructwa. To chyba niedobrze, jeśli w ustroju socjalistycznym jedna instytucja społeczna pożera drugą. Być może — w Izbie Rzemieślniczej mają na ten temat zupełnie odmienne zdanie.

Karol Badziak

★

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

W moim artykule pt. „Trudne życie turysty", zamieszczonym w 38 numerze „Odgłosów" naliczyłam sześć błędów zawinionych przez korektę. Jeden z nich chciałabym sprostować. Funt angielski dzieli się na dwadzieścia szylingów — jak napisałam, a nie na dwanaście — jak wydrukowano.

Z góry dziękuję
Teresa Wojciechowska

spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
— „Orfeusz w piekle"	2	2520	100
— „Cyrulik sewilski"	1	620	50
— „Romeo i Julia"	1	820	70
— „Jezioro Łabędzie"	1	940	80
— „Faust"	1	645	55
— „Królewna Śnieżka"	1	1163	95
NOWY			
— „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	700	100
— „Księżyc świeci nieszczęśliwym"	2	1000	80
— „Janosik"	3	1500	80
NOWY — MAŁA SALA			
— „Teoria Einsteina"	3	450	75
— „Pelikan"	3	540	90
POWSZECHNY			
— „Ojcowie rodzą się w szafach"	3	1500	90
— „Lizystrata"	1	668	100
— „Wszyscy moi synowie"	2	1000	90
JARACZA			
— „Wszystko w ogrodzie"	1	514	100
7.15			
— „O krasnoludkach i sierotce Marysi"	3	1266	100
OPERETKA			
— „Miłość szejka"	7	3350	61
FILHARMONIA			
— koncert symfoniczny		825	100

TP OBIEKTYW

PIECZORIN OŻYWIONY NA EKRANIE

„Bohater naszych czasów" — tak nazwał Lermontow swą powieść, którą wydał w roku 1840, na krótko przed śmiercią, i tak określił jej protagonistę Pieczorina. Tytuł ten nieprzypadkowo zbieżny jest z nazwą powieści Alfreda de Musset „Spowiedź dziecięcia wieku", która wyprzedziła „Bohatera naszych czasów" o cztery lata i którą Lermontow znał w oryginale.

Dziecię wieku, bohater owych czasów — to określenia odsłaniające wyraźny zamiar obu autorów, by ukazać postaci literackie o nieprzypadkowych rysach charakteru. Znacznie wcześniej stworzył Byron typ bohatera romantycznego, mrocznego, milczącego, przeżywającego jakieś wewnętrzne burze i skłóconego z otaczającym go światem. Ale Korsarz Byrona nie spowiada się z przyczyn swej postawy życiowej. Po prostu nie chce być rozumiany i dlatego otacza się mgłą tajemniczości.

Bohaterowie Musseta i Lermontowa, w przeciwieństwie do Korsarza, są nie tylko efektem, lecz także interpretatorami swoich czasów. Wiodą coś, co dziś nazwalibyśmy monologiem wewnętrznym, w którym mieszają się hamowane i nie uzewnętrznione uczucia z chmurną refleksją i drwiną.

Pozostańmy przy Pieczorinie. Jest on z pewnością młecznym bratem bohatera mussetowskiego, a przecież inny. Jego rozgoryczenie i pogarda dla świata ma bardziej konkretne źródło. Jeszcze żywe jest wspomnienie buntu dekabrystów i armat stojących na placu Senackim w Petersburgu. Rosja Mikołaja I pogrążona jest w mroku. Dworskie koterie i biurokratyczna machina władzy dławi każdy przejaw swobodniejszej myśli, nie mówiąc już o działaniu.

Wrażliwa natura Pieczorina, który (podobnie jak bohater Musseta) jest alter ego autora, buntuje się przeciw takiej rzeczywistości. Bunt swój wyraża w swoistym nihilizmie, w negacji wszystkich praw i konwencji rządzących ówczesnym światem.

Pozornie Pieczorin mieści się w konwencjonalnych ramach. Jest oficerem służby czynnej, spędza wolny czas u wód w Piatigorsku (w tym samym Piatigorsku, w którym Lermontow zginie w 1841 roku, w wieku 27 lat, prowokowany do pojedynku przez podstawionego przez sfery dworskie hulakę i awanturnika Morozowa), romansuje, tańczy walca i kadryla.

Ale to akceptacja tylko zewnętrzna. W istocie Pieczorin wykorzystuje owe konwencje, by skompromitować klasę rządzącą, do której sam należy. Jak Wallenrod ukrywa przy tym do czasu swą prawdziwą twarz.

Zadanie zanegowania świata, które wziął na swe barki, i które decyduje o jego postępowaniu, ciąży mu niejednokrotnie. Przecież nie jest człowiekiem zimnym i bez serca. Zdaje sobie sprawę z krzywdy, jaką wyrządza księżniczce Mery, pannie z dobrego domu, chowanej pod kloszem, której jedynym jak dotąd grzechem jest sama przynależność do tej klasy, która wyciska piętno na ponurym życiu carskiej Rosji.

Adaptacja telewizyjna fragmentu „Bohatera naszych czasów", nadana przez Telewizję Warszawską pod nazwą „Księżniczka Mery", budzi uczucia bardzo mieszane. Bogaty podtekst, na którym zbudowana została postać Pieczorina, uległ poważnej redukcji i zubożeniu (gdyby choć jakieś słowo wstępne, wyjaśniające, ale telewizja zarzuciła ostatnio tę formę interpretacji).

Sytuację ratował częściowo, ale tylko częściowo, wykonawca tej roli, Zbigniew Zapasiewicz. W jego ujęciu postaci Pieczorina doszukać się można tak modnej dziś wśród młodzieży frustracji, czy nawet rozpowszechnionych w zachodnich krajach burżuazyjnych nastrojów kontestacyjnych, polegających na buncie przeciw wszelkiemu porządkowi przeciw wszystkiemu.

Reżyser przedstawienia, Konstanty Ciciszwili, nie znalazł interesującej formuły wizualnej dla przekazania monologu wewnętrznego Pieczorina. Niektóre pomysły, jak np. wkadrowanie twarzy Wiery (bardzo nieprzekonywająca rola P. Raksy) w kartkę listu odczytywanego przez Pieczorina, były wręcz żenujące.

A przecież jednej refleksji nie potrafię się wyzbyć. Coraz bardziej przekonuję się, że adaptacje utworów niedramatycznych, w których sceny udramatyzowane przebijane są narracją, lepiej sprawdzają się na małym ekranie niż skróty sztuk teatralnych.

Władysław Orowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Gdy w niedawnym czasie oglądaliśmy w TV serię polskich filmów telewizyjnych, emitowanych pod hasłem „Opowieści niezwykłych", nurtowało nas wrażenie, że gatunek zwany filmem grozy nie stanie się nigdy specjalnością polskich realizatorów. Nie ratowały tych filmów intelektualne igraszki i dystans „zmrużonego oka", dla wywołania choćby dreszczyku emocji i intelektualnej satysfakcji zabrakło bodźców.

Do bardziej udanych pozycji tej serii należały filmy „Wenus z Ille" i „Awatar" w reżyserii Janusza Majewskiego. Stanowiły one widać wprawkę, gdyż do twórczości Prospera Merimee i do „opowieści niezwykłej" powrócił Majewski w swym nowym pełnometrażowym filmie „LOKIS".

Choć opowiadanie Marimee mogło skłaniać ku konwencjom „horror filmu", Majewski zgodnie ze swymi upodobaniami wybrał drogę gry intelektualnej, odbierającej prymat emocjom. Chciałoby się tu rzec — szkoda! Miał Majewski w ręku znakomity pomysł literacki, zyskujący dodatkowy smak dzięki okolicznościom mu towarzyszącym. Fantastyczne opowiadanie dziewiętnastowiecznego nowelisty, którego zafrapowała egzotyka Litwy dawało polskiemu reżyserowi okazję stworzenia filmu inspirowanego nie tylko wyobrażeniem Marimee o Litwie i jej mieszkańcach. J-kiż to mógł być „horror", gdyby go istotnie oprzeć o owe wierzenia pogańskie i ludową fantazję zaklętą tak w „gminnej opowieści" jak i w romantycznej balladzie.

Podejrzewam, że zabrakło Majewskiemu odwagi, łatwo można było zostać posądzonym o zły smak. Niełatwo być Kulidżanowem wraz z jego „Cieniami zapomnianych przodków". A zresztą byłby to inny film.

Nasz „Lokis" jest filmem reżysera ambitnego, który bierze fantastyczną opowieść nie po to, by tworzyć „horror", czy by odtwarzać świat przedziwnej koegzystencji pogańskich wierzeń i cywilizacji. Reżyser pragnie tę opowieść pogłębić filozoficznie i intelektualnie — stworzyć studium samotności i okrucieństwa.

Nie pierwszy raz w dziejach polskiego filmu nadmiar ambicji zaszkodził filmowi. Są w „Lokisie" niewątpliwie zadatki na owe studium — szamocący się z tajemnicami swej jaźni hrabia Szemiot, okrutny organizator tragicznych zdarzeń doktor Froeber i równie okrutny w swej pozycji obserwatora pastor Wittembach — to postacie przy pomocy których studium to można by stworzyć. Ale musiał to by być inny film.

„Lokis" w tej postaci, w jakiej ją prezentuje Majewski, jest studium niezdecydowania. Stąd tak wiele w tym filmie z pozoru wykoncypowanym i eleganckim — zgrzytów, od których cierpnie skóra. „Lokis" zawiera przepiękne, pełne niekłamanej atmosfery sekwencje, ładnie w nim grają pejzaże i wnętrza pałaców, aktorzy (Fetting, Lutkiewicz i J. Duriasz) czynią wszystko, by wniknąć w dusze swych bohaterów, czujemy chwilami ów niezwykły klimat krainy i czasów, w których toczy się akcja. Trudno zatem uwierzyć, że ten sam reżyser pozwolił sobie na tak straszliwe niewypały artystyczne jak sekwencja burzy, spotkanie z wiedźmą, zupełnie koszmarną scenę popisu ludowego zespołu tanecznego oraz solowy taniec Małgorzaty Braunek.

Ofiarą niezdecydowania reżysera padła również biedna hrabina w wykonaniu samej Zofii Mrozowskiej.

Trudno dziś mówić o czystościach gatunków filmowych, trzeba jednak o ich prawach pamiętać. Zwłaszcza wtedy, gdy pragnie się widza zafrapować intelektualnie należy bardzo dbać nie tylko o konstrukcję, ale i o reguły gry, trzeba też wiedzieć czym się gra.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

★

Postaci Ernesta Guevary poświęcono już książki, niezliczone ilości artykułów i wypowiedzi, drukowano jego dziennik. Guevara — ideolog i rewolucjonista — partyzant, stał się symbolem poświęcenia dla idei, bohaterstwa i bezinteresowności.

Jemu poświęcono film zrealizowany w 1968 roku we Włoszech. Reżyser P. Heusch w filmie „CHE" (opowieści o Guewarze)" postawił sobie za cel możliwie wierne odtworzenie ostatnich dni walki i męczeńskiej śmierci Ernesta Guevary.

Ten zamiar realizatorski należy brać pod uwagę w ocenie tego filmu. Zabrakło w nim bowiem szerszego tła politycznego, ekonomicznego i historycznego wydarzeń, których bohaterem był „Che" i jego partyzanci. Nie pokusił się też reżyser o próbę głębszej analizy osobowości Guevary. Otrzymaliśmy, sądzić należy, w miarę autentyczną relację z ostatnich dni walki i życia oddziału partyzantów, którzy pod przywództwem Guevary, niosąc posłannictwo rewolucji, zginęli w górach Boliwii. Ujawnione światu szczegóły męczeńskiej śmierci „Che", znajdują w filmie swój dramatyczny i orkarżycielski wyraz. W jakim stopniu Guevara jest w filmie prawdziwy, trudno orzec, poprzestano bowiem na szkicu zaledwie. Odnosimy wrażenie, iż starano się o prawdę, zrealizowano niestety, wprawdzie uczciwy, ale tylko film przygodowy.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

KU CZCI VAN GOGHA

Budynki i nie tylko budynki, bo trawniki, lasek, aleje w Auvers-sur-Oise, gdzie ostatnie swe dni spędził Van Gogh będą odtąd urzędowo chronione jako zabytki. Tak postanowiło francuskie Ministerstwo Kultury. W Auvers-sur-Oise Van Gogh przebywał od 20 maja 1890 r. 27 lipca wystrzałem w pierś skrócił sobie życie. Pochowany został na tamtejszym cmentarzu obok swego brata Theo. Kościół, merostwo oraz kawiarnia, gdzie mieszkał wielki malarz zostaną odrestaurowane i zachowane w takim stanie, w jakim znajdowały się pod koniec zeszłego wieku i jakimi oglądał je Van Gogh.

Przy okazji przypomnijmy, że w roku 1962 dla uczczenia pamięci Van Gogha, Rada Miejska w Arles odbudowała most Anglois który malarz utrwalił na swym obrazie w roku 1888.

NIEZNANE PAMIĘTNIKI ANDRE MAUROIS

Blisko trzy lata temu zmarł wybitny pisarz francuski Andre Maurois. Obecnie jedno z wydawnictw paryskich przygotowało pamiętniki, które pisarz zakończył na kilka dni przed operacją, po której zmarł.

Jeden z ostatnich numerów paryskiego tygodnika „Le Figaro Litteraire" drukuje interesujące fragmenty tego nie wydanego i nie znanego dotąd pamiętnika.

MOZAIKA SYRYJSKA

Ostatni jaki do nas dotarł, ósmy numer radzieckiego czasopisma „Iskusstwo" przyniósł m.in. interesujący artykuł o niedawno odnalezionej w Syrii, starożytnej mozaice, jednej z najpiękniejszych na świecie.

Dwa lata temu archeolodzy syryjscy odkryli w wiosce Marialin nad rzeką Asi (Orantes), prawie na pół drogi między miastami Homs i Hama, na podłodze starożytnego pałacu, wspaniałą, barwną mozaikę. Zabytek ten został przeniesiony do muzeum w Hama, gdzie wciąż jeszcze trwają badania nad tym znaleziskiem.

Mozaika ma kształt prostokąta o wymiarach 5 na 6 m. Środkowa jej część zawiera motyw główny przedstawiający sześć dziewcząt grających na różnych instrumentach muzycznych, przy czym całość tej grupy dzieli się wyraźnie na trzy części, po dwie dziewczyny w każdej. Z prawej strony dziewcząt widać stół przykryty białym obrusem. Motyw główny obwiedziony jest dekoracyjną ramą z wizerunkami dzikich i domowych zwierząt oraz głów młodzieńców i starców. Twarze te są najprawdopodobniej symboliczne i wyobrażają bóstwa. Postacie ludzkie i zwierząt wkomponowane są w bogaty ornament roślinny i odcinają się jasnymi sylwetkami od czarnego tła. Zwierzęta, zarówno domowe jak i dzikie przedstawione są jakby zastygłe w ruchu, pełne dynamizmu wśród przedziwnej roślinności.

Jeśli chodzi o motyw centralny, grające na instrumentach dziewczęta, to postacie ich, mimo podziału na grupy, tworzą kompozycyjnie całość. Artysta ustawił je nieco bokiem do widza, znać przy tym iż znał on zasady perspektywy. Drugi plan dla utrzymania optycznej płaskości podłogi potraktowany został płasko. Stół natomiast pokazany jest w perspektywie odwróconej. Te sprzeczności w traktowaniu perspektywy poszczególnych elementów obrazu są charakterystyczne dla starożytnych dzieł mozaikowych w Syrii. Dodajmy jeszcze, że twarze dziewcząt są zindywidualizowane co świadczy dobrze o kunszcie artysty.

Całość mozaiki odznacza się wysokimi walorami kolorystycznymi. Wykonana jest z różnokolorowych, bogatych w odcienie, kamyczków jednakowej wielkości. Dominującą barwą mozaiki jest złocista, która przeplata się w całej tej kunsztownej kompozycji. Kolor złoty zestawiony jest ze stonowaną zielenią i czerwienią, przy różnej intensywności tych barw.

Te barwne zestawienia, harmonijne i wykonane z wielkim mistrzostwem oddawać miały niewątpliwie nastrój muzycznych tonów płynących z instrumentów, na których grają dziewczęta. Mozaika, dzięki trwałości materiału i solidności wykonania, zachowała się po dziś dzień w doskonałym stanie i robi wrażenie jakby artysta ukończył ją przed chwilą. W muzeum w mieście Hama specjaliści oceniają wartość artystyczną mozaiki bardzo wysoko, twierdząc że można ją zaliczyć do najlepszych tego typu dzieł nie tylko w Syrii, ale na całym świecie. Najprawdopodobniej mozaika wykonana została w III wieku n.e., w czasie władania Rzymian w Syrii. Jednakże w dziele tym wystąpiły najlepsze cechy sztuki epoki hellenistycznej, kiedy to, jak wiadomo, tradycje greckie splatały się z artystycznymi tradycjami miejscowymi, tworząc nowy okres kultury. Z nadejściem imperium rzymskiego w Syrii nie zniknęły wpływy hellenizmu lecz trwały nadal, niejednokrotnie oddziałując i na sam Rzym.

MARILYN ZAPOMNIANA I ODNALEZIONA

— pod takim tytułem tygodnik „Paris-Match" przynosi obszerną relację o książce oraz reportażu fotograficznym, rzucających nowe światło na postać i osobowość Marilyn Monroe, wielkiej aktorki filmowej, zmarłej osiem lat temu.

Śmierć jej była niezrozumiała i zagadkowa. Ostatnio Fred Lawrance Guiles na podstawie żmudnych i szczegółowych badań wydał obszerną monografię, liczącą 370 stron. Znajdujemy tu opis dzieciństwa, życia, talentu, osobowości i kariery Marilyn Monroe, wreszcie relacje o jej śmierci, która jak twierdzi Guiles, nie była bynajmniej samobójstwem. Podobno Marilyn zażyła przez pomyłkę podwójną dawkę leków nasennych. Przerażona, próbowała szukać pomocy, ale otoczenie zbagatelizowało jej prośby, a gdy pojawił się lekarz była już nie do uratowania. Niemal równocześnie z książką został opublikowany fotoreportaż o Monroe. Jego autorem jest przyjaciel zmarłej, Milton Greene. On to pewnej niedzieli 1954 roku w pustym studio filmowym pod Hollywood wykonał szereg zdjęć aktorki, która pozowała w najprzeróżniejszych strojach. Nigdy jeszcze nie uwidoczniła się w tak wielkim stopniu aktorski talent, wdzięk, czar osobisty Monroe jak na tych kilku fotografiach zrobionych przypadkowo, nie przeznaczonych do publikacji.

NIEDZIELI DO NIEDZIELI

MUZEUM SZTUKI W SZUFLADZIE

NIE TYLKO LECZY — MINIATUROWE REPRODUKCJE — WSZYSTKIE GALERIE ŚWIATA — SPEKULANCI Z SZEJKANATÓW — PIĘKNY POMYSŁ PANA BOLAFFI — KOLEKCJA „EPOKI" — WALORY POZNAWCZE I ESTETYCZNE.

Przeczytałem niedawno felieton pt. „Hobby, które leczy", traktujący o filatelistyce. To prawda — wszelkie zbieractwo, każda kolekcjonerska pasja jest z pewnością znakomitym relaksem, świetną terapią. Tak też jest z filatelistyką.

Ale jest jeszcze inny — nie mniej ważny, a może nawet ważniejszy aspekt filatelistyki. Na imię mu — popularyzacja. Choćby malarstwa. Ostatnio rozprzestrzeniona moda na kolekcjonowanie tematu „malarstwo" przyczyniła się w większym stopniu do poznania światowej i polskiej plastyki niż setki artykułów, wystaw i monografii. Filatelistyka jest bronią potężną — ludzie, którzy dotąd nie słyszeli nic o El Greco, Rubensie, Rafaelu — kolekcjonują miniaturowe reprodukcje ich prac na znaczkach, poznają piękno sztuki za pośrednictwem małego skrawka papieru, pielęgnują w swych klaserach bogate galerie malarstwa... W klaserach filatelistów spotykają się ze sobą skarby Ermitażu i Louvru, Galerii Drezdeńskiej i Galerii Tretiakowskiej, Muzeum Narodowego w Warszawie i Muzeum Narodowego w Pradze... Ogromne zbiory możliwe do osiągnięcia tylko dzięki filatelistyce.

Za parę złotych można sobie takie uniwersalne, wszechświatowe muzeum malarstwa skompletować w jednej szufladzie, we własnym domu. Polska wydała już i wydaje nadal piękne serie w postaci bloków-arkusików. Wydaje podobne serie Związek Radziecki i Czechosłowacja, Węgry i NRD, wszyscy... Oczywiście wydają znaczki z malarstwem tak że różne szejkanaty i bananowe republiki — są to serie bardzo drogie, emitowane z myślą o spekulacji na filatelistycznym rynku... Te znaczki są drogie i zresztą zbierać ich nie warto, bo jakiż ma związek Mona Liza Leonarda Da Vinci z szejkanatem Ras al Khaima albo „Ukrzyżowanie" Rafaela z państewkiem Santa Lucia? Prawdziwy fitalista nie biega za tymi wątpliwymi rarytasami.

Ale za niewielkie pieniądze, przy odrobinie zachodu, można mieć równie piękne znaczki z malarstwem wydawane przez państwa z prawdziwego zdarzenia — można mieć komplety miniaturowych reprodukcji z galerii polskich, radzieckich, czechosłowackich, francuskich, włoskich, węgierskich...

Wciąż wydaje mi się nie doceniany ów ogromny walor poznawczy i kształcący — mody, której na imię „malarstwo w filatelistyce". Nie bardzo docenia się te walory, które przecież niosą autentyczną realizację założeń wychowania estetycznego społeczeństwa, założeń tkwiących w ogólnych ramach naszej polityki kulturalnej.

Włoski tygodnik „EPOCA" wspólnie z panem Bolaffi, prowadzącym w Turynie firmę filatelistyczną, zorganizował akcję, jak dotąd bez precedensu. Oto prenumeratorzy „Epoki" otrzymali... karty albumowe z tzw. hawidami czyli wkładnikami do znaczków, na kartach tych wydrukowano opisy znaczków, informacje o malarzach, a na dodatek do każdego numeru... dołączono znaczki.

Leżą przede mną te karty. Oto seria węgierska z reprodukcjami Gauguina Toulouse Lautreca, Van Dycka. Oto karta ze znaczkami Mongolii, dalej rumuńskie znaczki — Tintoretto, Velazquez, Tattarescu... Węgrzy z reprodukcjami Goyi, Rafaela i El Greco... Każda karta zaopatrzona w napis „Epoca", Collezione francobolli d'arte".

Te piękne miniaturki wielkich dzieł sztuki podane w estetycznej oprawie kart, z informacjami i opisem, w celofanowych „koszulkach" — to naprawdę znakomita popularyzacja malarstwa. I naprawdę nieważne, że są to znaczki stosunkowo nisko wycenione w katalogu Zumstein — ważne, że setkom tysięcy prenumeratorów „Epoki" dano do rąk małą galerię światowej sztuki.

Szkoda, że u nas, gdzie wydaje się już od paru lat piękne serie malarstwa, nikt nie wpadł na podobny pomysł. Bo sam znaczek to jeszcze za mało — trzeba go podać w odpowiedniej oprawie, z opisem, na estetycznej karcie... Podobne, bardzo tanie kolekcje tematyczne kupić można w każdym kiosku w Związku Radzieckim... U nas nawet nie pomyślano o tym, aby wydać do arkusików malarstwa, emitowanych przecież od paru lat, odpowiednie formatem klasery.

Filatelistykę traktuje się u nas często albo jako lokatę kapitału (jakże zawodną!), albo jako dobry byznes, albo jako nieszkodliwe wariactwo. Zapomnano tylko o jednym. Można i należy traktować ją także jako znakomity instrument popularyzacji sztuki. Zwłaszcza malarstwa, bo przy dzisiejszym stanie technik poligraficznych, miniaturowa reprodukcja nieraz nie ustępuje wcale poziomem dużym planszom słynnej szwajcarskiej „Skiry".

Galerię światowego malarstwa można mieć w domu, we własnej szufladzie. Odwracając karty klasera można wędrować galeriami wszystkich stolic świata — można mieć w każdej chwili przed oczyma Tycjana i Rembrandta, Goyę i El Greco.

Filatelistyka, która w potocznym odczuciu jest wariactwem, a w rzeczywistości dla niektórych jest byznesem — może być naprawdę niezwykle kształcącą, poszerzającą horyzonty, pasją i przyjemnością. I tak być powinno, jeśli potraktuje się filatelistykę z sercem, ze świadomością jej walorów poznawczych i estetycznych.

JERZY WIDOK

Bez strachu

Sny Czanga

Przed dwudziestu laty przeczytałem pierwszy raz opowiadanie Bunina „Sny Czanga" — nigdy do tej chwili żaden twór literacki nie ugodził mnie z taką siłą, nie przeobraził, nie unaocznił, że jawa, że świadomość, w której i którą żyję, jest tylko jednym z wielu możliwych stanów. Przez dwadzieścia lat opadało we mnie wiele zasłon grozy i złudy. Bunin nie dał mi wizji wyższego stanu świadomości, dał więcej — jego przeczucie, intuicje, nadzieje... Od wielu lat stoi u mnie na półce zakurzony tom opowiadań Bunina — „Sny Czanga" odczytane przed dwudziestu laty. Kilka razy brałem do rąk książkę, ocierałem kurz, omal nie otworzyłem na właściwym miejscu, omal nie odczytałem ponownie. Zawsze strach kazał mi odłożyć zamkniętą książkę. Bałem się, że przeczytam ponownie i tamta błyskawica nie oświetli mnie jak przed dwudziestu laty. Bałem się, że kiedy nie nastąpi ponowienie, zetrze się i pamięć o wstrząsie. Bałem się tej książki, wciśniętej pomiędzy inne, pozornie podobnej do innych... Czy jest w niej żywy ogień — czy wtedy była tylko mała iskierka, którą rozpaliła przez lata trwożliwej pamięci wyobraźnia? Czy Sny Czanga rosły we mnie przez te lata, większe od moich snów, większe od mojej jawy? Kiedyś krążyłem w czasie bezsennej nocy po pokoju, umyślnie źle oświetlonym — nie mogłem myśleć, nie mogłem pisać. Postanowiłem — tej nocy odczytam ponownie Sny Czanga... I stała się rzecz najgorsza z możliwych — czytałem i opowiadanie nie było złe, nawet ciekawie napisane, nawet zręcznie sklecone, nastroiki nawet odrobinę, nie za bardzo, ze smaczkiem staroświeckie... Poprawna, niezła literatura, roku pańskiego 1916. Gdyby rzecz przy ponownym czytaniu była intensywnie zgryźliwie zła, tandetna, zniosłbym łatwiej tę długotrwałą, złą przygodę literacką — gdyby to było Wielkie Nieudane — tymczasem tekst był przestarzały, ale zgrabny, owa dobra drugorzędność i nic więcej. Zamknąłem książkę i wcisnąłem ją między inne formy. Niech sobie Czang śpi jeszcze przez dwadzieścia lat. Jeżeli za dwadzieścia lat będę żył i jeżeli utrzymam książkę, jeżeli za dwadzieścia lat przypadną mi bezsenne noce — sięgnę znowu i odczytam trzeci raz Sny Czanga. Czy to wydrukowane opowiadanie przemienia się na ściśniętych kartach, czy ja się zmieniam, czy raczej zmienia się coś niezmiernie trudnego do wskazania, coś istniejącego między tekstem, a mną. Czy to ja śniłem przez dwadzieścia lat i będę śnił przez następne lata, czy to Czang prześniwa się ustawicznie z jednego kręgu kultury w inny. Kiedy się łudziłem — czy wtedy, czy też teraz... kiedy odczytałem i pojąłem prawdziwą, istotną warstwę Snów Czanga? Genialne opowiadanie Bunina, poprawne i mierne opowiadanie Bunina... Takich przygód chyba nie znają codzienni, systematyczni czytacze, ludzie wielu książek, którzy wszystkie je jak mniemają, zrozumieli, wyciągnęli z nich, jak sądzą, stosowną naukę, ocenili, jak się łudzą, według niezawodnych miar.

BERNARD SZTAJNERT

MARK DERBY

Spadkobiercy

Zadzwonił telefon. Detektyw podniósł słuchawkę.

— Czy pan Standish? Tu mówi Lester, sekretarz Williama Branta. Sir William chciałby porozmawiać z panem w sprawie osobistej dziś o godzinie 15. Sam nie może przybyć do pana.

— Dobrze, przyjdę.

Detektyw położył słuchawkę i udał się do pokoju swej sekretarki. — Billie, spróbuj dowiedzieć się, kto to jest sir William Brant.

Po kilku minutach sekretarka przyniosła kartkę z informacją: — Brant, urodzony w 1895 roku, baronet, prezes kilku towarzystw przemysłowych. Z pierwszej żony ma syna Jeremy. Po jej śmierci ożenił się z panią Walton, która miała córkę z poprzedniego małżeństwa, Lorraine. Druga żona także umarła.

O godzinie 15 detektyw znalazł się przed wielkim domem w stylu wiktoriańskim. Zaparkował samochód w alejce i zapukał do drzwi.

Otworzyła mu kobieta w średnim wieku. — Pan Standish? Proszę za mną. — Poszli szerokimi schodami na piętro, potem wzdłuż korytarza do niewielkiego pokoju, w którym jakiś młody człowiek siedział przy biurku. Przywitali się.

— Nazywam się Conrad Lester. Zaprowadzę pana do sir Branta, który bardzo chce się z panem zobaczyć.

— Skąd taki pośpiech? O co chodzi?

Lester zawahał się. Lepiej, że by on sam panu powiedział. To sprawa czysto rodzinna.

— Co jest panu Williamowi?

— Chory na serce. Musi unikać wzruszeń.

Zeszli na dół. Sekretarz zapukał do pierwszych drzwi w korytarzu.

W pokoju wisiały na ścianach cenne obrazy, antyczne meble także przedstawiały dużą wartość. Przed kominkiem siedział stary człowiek w fotelu na kółkach, przykryty kocem. Fotel poruszył się szybko i zatrzymał się przed detektywem.

— Czy pan Standish? Jestem William Brant. Dziękuję, że pan przyszedł. — Skinieniem głowy odprawił Lestera. — Napije się pan czegoś? Może whisky?

Był gorący dzień sierpniowy. Standish czuł jak pot spływa mu po plecach. — Chciałbym zdjąć marynarkę — rzekł.

— Proszę bardzo. Mnie nigdy nie jest za ciepło. Myślę, że z powodu słabego serca. Lekarze dają mojej chorobie różne nazwy, lecz sądzę, że najwłaściwszą będzie: śmierć. To dziwna rzecz zdawać sobie sprawę, że się umiera.

Detektyw rozsiadł się wygodnie w fotelu i popijał whisky. — Wierzę panu.

Brant roześmiał się. — Cieszę się, że pan jest ze mną szczery. Każdego poddaję próbie. Jeżeli mi odpowiada, że przykro mu, to znak, że mam do czynienia z hipokrytą. Czy pan wie, dlaczego pana wezwałem?

— Niezupełnie. Na razie widzę, że mnie pan obserwuje, aby zbadać, czy nadaję się do pańskiej sprawy. Gdy się pan zdecyduje, proszę mi powiedzieć.

— Już się zdecydowałem. Niech pan to przeczyta. — Wyciągnął spod koca kopertę. Była adresowana do Branta i nadana dzień wcześniej w Londynie. Wewnątrz była kartka pisana na maszynie: „Pański syn lubi grać w karty, lecz nie płaci swych długów. Przegrał 5000 funtów. Nie podobają nam się oszuści, lecz niekiedy musimy pertraktować z nimi. Proszę dać mu pieniądze, w przeciwnym razie grożą mu nieprzyjemności."

Standish zmarszczył brwi. — — Czy to prawda?

— Nie wiem.

— Dlaczego pan nie zapyta syna?

— Nie widziałem go od roku. Jeremy jest uparty. Nie chce wejść do moich interesów, ani żyć w moim domu. Prosił mnie o dziesięć tysięcy funtów na założenie przedsiębiorstwa produkującego materiały plastyczne. Nie zgodziłem się. Od tego dnia nie pokazywał się tutaj.

— Czy wie, że pan jest chory?

— Po co miałbym mu to mówić?

— Czy syn jest pana sukcesorem?

— To mój syn, nie zmienię nigdy testamentu.

— Czy pan ma przybraną córkę?

— Tak, Lorraine Walton, mieszka tutaj.

— Co mogę zrobić dla pana?

— Niech pan porozmawia z synem. Mieszka Malton Street 95. Chciałbym znać prawdę.

— Potrzebny mi jest ten list i fotografia.

Paker zawiózł Branta do biurka. Wyjął stamtąd fotografię. Jeremy był zupełnie podobny do ojca.

— Jeszcze jedna rzecz. Czy pan zapłaci jego długi?

— Zapłacę...

Wyszedłszy z budynku Standish odetchnął. W alejce zobaczył młodą kobietę, która zbliżyła się do niego. — Jestem Lorraine Walton. — rzekła. — Czekałam na pana.

— Pani ojczym powiedział mi, że umiera — przerwał Standish brutalnie.

— Wiem. Tym gorzej, że nie chce żyć. Bardzo się przejął, gdy Jeremy odszedł.

— Co pani chciała mi powiedzieć?

— Ojciec mi pokazał ten list. Wiem, że Jeremy chodzi często grać w karty do klubu „Sezam". Właścicielem jest niejaki Red Maguire.

— Znam go. To podejrzany typ.

Gdy Standish opuszczał posiadłość baroneta, zobaczył jakąś twarz w oknie pierwszego piętra. Poznał Lestera, chociaż ten szybko się cofnął.

Wrócił do biura po godzinie 17. Billie już zamykała.

— Otwórz no, moja droga, będziesz miała kilka telefonów do załatwienia. Przywołał Bakera.

— Znów będzie kogoś śledzić? Sprawa rozwodowa?

— Nie. Spadkobierca trwoni majątek w grze hazardowej. Lecz jest w tym wszystkim coś dziwnego, czego nie rozumiem.

Dziesięć minut później detektyw rozmawiał z Bakerem. Opisał mu młodego Branta i kazał go śledzić dzień i noc.

O godzinie 19 Standish udał się na Malton Strett. Spotkał tam Bakera, który siedział w barze i popijał kawę.

— Jestem tu od godziny. Czy masz fotografię? Tak, to on, przed kwadransem wrócił do domu. O co tu chodzi? Pewnie jakiś zazdrosny mąż interesuje się jego osobą?

— Nic z tych rzeczy. Śledź go dalej. Pójdę teraz na górę, aby z nim porozmawiać.

Detektyw pojechał na piąte piętro. Otworzył mu Jeremy.

— Mam dla pana wiadomość od ojca — oznajmił detektyw.

— Jeżeli ojciec chce mi coś powiedzieć, może przysłać swego nieocenionego sekretarza, albo Lorraine.

— Chcę panu także coś powiedzieć na temat Reda Maguire.

— Dobrze, niech pan wejdzie.

Umeblowanie pokoju było nędzne... stary tapczan, brudne fotele, stolik. Na podłodze stała maszyna do pisania.

— Nie mogę sobie pozwolić na nic lepszego, dopóki moja fabryka nie zacznie przynosić dochodów. Chociaż ojciec nie chciał mi dać pieniędzy na jej założenie, jednak udało mi się rozpocząć produkcję. Lecz teraz potrzebny mi kapitał.

— Ojciec pana jest ciężko chory.

— Mówiła mi o tym Lorraine. Przychodzi do mnie często.

A pan — kim pan jest?

Standish przedstawił się i pokazał list. Młodzieniec po przeczytaniu wpadł we wściekłość.

— Pięć tysięcy funtów! Oszalał! Jestem winien tylko pięćset, lecz Maguire musi jeszcze poczekać!

— Dopóki pan nie otrzyma tych pięciu tysięcy! Wiedział pan, że ojciec nie da pieniędzy i dlatego trzeba było podstępu, aby poprawić finanse przedsiębiorstwa.

— To nieprawda!

— Być może, iż na tej maszynie pisał pan ten list. Czy mogę zbadać czcionki?

— Precz! — krzyknął Jeremy Brant.

Detektyw wyszedł. Na ulicy przywołał taksówkę i kazał się zawieźć do klubu „Sezam". Lokal mieścił się w wąskiej i ciemnej uliczce. Standish zadzwonił. Drzwi otworzyły się automatycznie. W końcu korytarza były drugie drzwi bez klamki, z lustrzanym okienkiem i mikrofonem.

— Pan nie jest członkiem naszego klubu — odezwał się jakiś nieznany głos. — Czego pan sobie życzy?

— Chcę rozmawiać z Redem Maguire.

— Nie ma go tutaj.

— O, dajmy spokój! Znam go i on mnie zna. Nazywam się Standish. Proszę mu powiedzieć, że tu jestem.

— Niech pan zaczeka, sprawdzę.

Po chwili jakiś typ w smokingu wpuścił go do wnętrza. — Proszę za mną — rzekł. Światła były wszędzie przyćmione. Na drugim piętrze typ otworzył drzwi. Mężczyzna siedzący za biurkiem wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

— Przyjemnie zobaczyć starego przyjaciela — rzekł z uśmiechem. — Czy przyszedłeś na partyjkę?

— Nie mam pieniędzy przy sobie. Sądzę, że wiesz, dlaczego tu przyszedłem. Jeremy Brant przegrał u ciebie większą sumę, a ty byłeś zmuszony napisać o tym list do jego ojca.

— Znam młodego Branta. Dzielny chłopak, lecz marny gracz. Nigdy nie pisałem listu do jego ojca.

Detektyw pokazał list. — Jago nie pisałem, byłoby to wbrew moim zasadom. Ktoś z ciebie zakpił.

— Czy winien ci pieniądze?

— Tak, około pięciuset funtów.

Standish wyszedł z klubu. Nagle poczuł, że ktoś za nim idzie. Pochylił szybko głowę i otrzymał cios w plecy. Upadł na kolana. Schwycił napastnika za

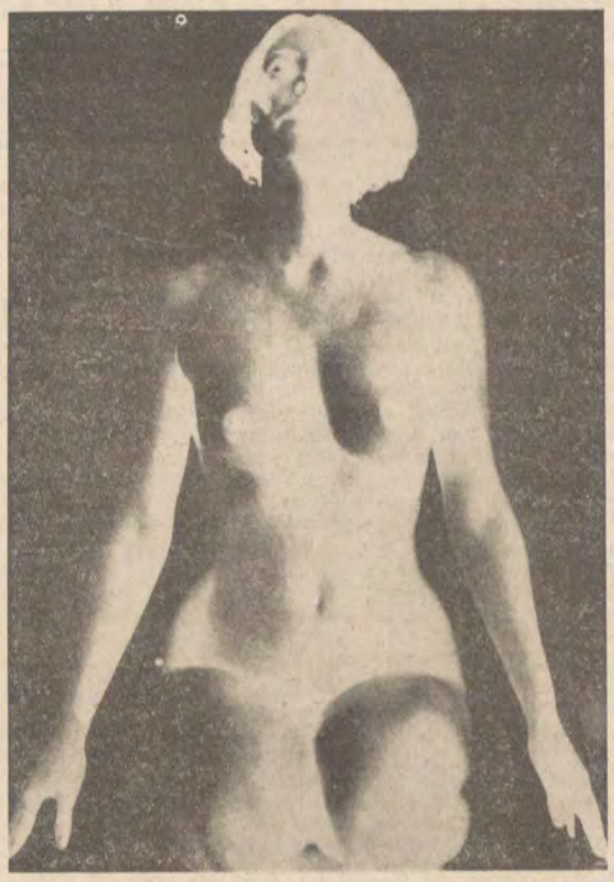

nogi i przewrócił go na ziemię. Zanim ten zdążył uciec, detektyw wyrwał mu guzik z płaszcza. Wstał szybko i pobiegł do taksówki. Podał adres Malton Street. W barze znalazł Bakera.

— Czy Jeremy jest w domu?

— Nie widziałem go, przez cały czas nie wychodził.

— Chodźmy tam! Może jeszcze nie jest za późno. Czy masz pistolet?

— Nie noszę z sobą takich przedmiotów. Myślisz, że będzie potrzebny? — Detektyw nie odezwał się.

Wjechali na drugie piętro. Zadzwonili. Z pokoju nie dochodził żaden szmer.

— Naprzód! Wywal drzwi, prędko.

Przy drugiej próbie ktoś otworzył drzwi od środka. W progu stanęła Lorraine. Była jakby zdziwiona. — Panie Standish, co pan robi?

W pokoju, na tapczanie leżał nieprzytomny Jeremy. Drzwi balkonu były otwarte, obok stał Lester.

— Nie zdążyliście wyrzucić go na dół? — zapytał detektyw. Zbliżył się do Jeremy'ego i zbadał puls. — Żyje jeszcze! Baker, zadzwoń do szpitala a potem przywołaj policję!

— Nie wiem, co pan chce powiedzieć — rzekła Lorraine.

— Zaraz pani wyjaśnię. Ojczym jest śmiertelnie chory, a Jeremy jest jego sukcesorem. Jeżeli Jeremy umrze, spadek przejdzie na panią. To była przyczyna pani podstępu. Chcieliście, żeby uwierzono, iż Jeremy napisał ów anonimowy list do ojca, że nie otrzymawszy pieniędzy popełni samobójstwo. List napisała pani na jego maszynie. Pani mi wskazała Maguire'a, bo wiedziała pani, że go sam wykryję. Potem przyszła pani tutaj i dała chłopcu Jeremy'emu proszek nasenny. A teraz z pomocą kochanka chciała pani wyrzucić swoją ofiarę przez okno.

— Musi mi pan tego dowieść. — rzekła Lorraine.

— To chyba ona namówiła pana, żeby napaść na mnie, gdy wracałem z klubu? — Standish pokazał Lesterowi guzik. — Poznaje pan? Guzik od płaszcza, który tam leży na fotelu.

— To był jej pomysł — przyznał się Lester. — Zmusiła mnie, abym jej pomagał. Obiecała, że po śmierci starego pobierzemy się.

Detektyw roześmiał się. — I pan w to uwierzył? Po zdobyciu majątku porzuciłaby pana jak stary but. Ale proszę opowiadać dalej...

Gdy przybyła policja Lester jeszcze zeznawał...

Oprac. A. S.

Lewym okiem

RENCIŚCI — SPEKULANCI

Kilka tygodni temu „Polityka" opublikowała list czytelnika, oburzonego faktem — podobno wcale nie wyjątkowym — sprzedawania przez rencistów lekarstw, jakie otrzymują po ulgowych cenach w ramach świadczeń społecznej służby zdrowia.

Zaraz potem ta sama „Polityka" zamieściła drugi list. List rencistki, która żaliła się, że Ministerstwo Zdrowia ograniczyło specjalnym zarządzeniem do minimum wydawanie leków rencistom. Zarządzenie zostało zdaniem rencistki spowodowane pierwszym listem. Skutek taki, że jedni renciści przestali sprzedawać lekarstwa, a drudzy przestali się leczyć, bo nie mają czym.

Chory rencista, który sprzedaje dla zysku otrzymane lekarstwo zamiast je zużyć dla poratowania własnego zdrowia, zarabia pieniądze kosztem zdrowia. Gdyby tego leku nie otrzymał, państwo — bo apteki są państwowe — sprzedałoby go innemu nabywcy i zarobiłoby te same pieniądze, które zarobił rencista.

Oczywiście, tak samo kosztem zdrowia tegoż rencisty. Jeśli stary człowiek naraża swe zdrowie dla paru groszy, to ostatecznie jego sprawa. Jeśli rzeczywiście było takie zarządzenie Ministerstwa Zdrowia i jeśli naprawdę oparto je na motywach uniemożliwienia sporadycznych wypadków handlu lekarstwami przez rencistów, to jest to zarządzenie nie do obrony.

Jeśli staremu człowiekowi potrzebny jest drogi a poszukiwany na rynku lek, to ostatecznie można mu ten lek aplikować ambulatoryjnie. Jest to uszczęśliwianie człowieka wbrew niemu samemu, ale i to lepsze, niż odmowa wydania leku ze strachu przed starczą spekulacją. Nie wycina się przecież lasu po to, żeby zlikwidować kłusownictwo. A zresztą — dlaczegóż to akurat rencistów podejrzewać o spekulację? Przecież każdy ubezpieczony może sprzedawać lekarstwa i być może, że niejeden tak robi. To co — to w ogóle zabronić? Zamknąć apteki? Ograniczyć się do „aspiryna cum jodyna"?

Wiadomo powszechnie i nie od dziś, że urzędnicy jadący w delegację służbową kupują bilet drugiej klasy osobowej, a rozliczają koszty klasy pierwszej, czasem pośpiesznej. Zarabiają więc różnicę kosztem większej niewygody własnej, ścisku, zimna, paru dodatkowych godzin jazdy. Nie wydaje mi się, żeby to był problem z kategorii małych, złośliwych kantów i „przechwytywania dochodu narodowego", chociaż czasem tak jest stawiany przez publicystów, którzy na delegację jeżdżą rzadziej. Myślę, że jest tu jakaś analogia z lekarstwami. Instytucja delegująca powinna stworzyć delegowanemu ludzkie, należyte warunki dla wykonania zadania. Deleguje się przecież gościa dla wykonania jakiegoś zadania, albo w tymże celu wzywa się go do siebie z odległego miejsca pobytu. Można i należy sprawdzić, czy i jak zostało wykonane. Jeżeli deleguje się lub wzywa dla śmiesznej bzdury, albo w ogóle nie wiadomo po co, to nie ma w tym winy delegowanego. Jeśli zaś zadanie jest prawdziwe i ważne, to zmuszanie delikwenta do wykonywania go w warunkach najgorszych dlatego, że najtańsze, byłoby również chęcią czynienia oszczędności przez instytucję na skórze — bardzo dosłownie — pracownika. Byłoby sprawą społeczną, polityczną, humanitarną, nie do obrony.

Oczywiście — można podjąć akcje, które uniemożliwią rozliczanie innego biletu niż ten, jaki naprawdę został wykorzystany. Można uniemożliwić urzędnikowi ponoszenie niewygód dla paru groszy. Zmusić go do jazdy salonką i sprawdzić, czy naprawdę spał w sypialnym. Wtedy dla równowagi należałoby też skontrolować, ile kosztuje utrzymanie całodzienne w podróży i zażądać dołączenia do delegacji rachunków za najskromniejsze obiady, śniadania i kolacje. Wyspecyfikowanych i poświadczonych rejentalnie. Ręczę, że przekroczą osiemnaście złotych dziennie, skoro dwie bułki z szynką kosztowały w Poznaniu podczas targów, na terenie targów, w uspołecznionym barze, dwadzieścia złotych.

Spekulowanie na kosztach delegacji i na cenach lekarstw to na pewno zjawiska niezbyt pozytywne. Myślę jednak, że najlepszą i jedyną drogą do ograniczenia ich społecznego zasięgu jest wydawanie delegacji i leków tylko wtedy i zawsze wtedy, kiedy są naprawdę potrzebne. Nie wtedy, kiedy jedno z tysiąca zarządzeń zezwala lub zabrania. Lepiej i słuszniej byłoby kontrolować zasadność wydanych delegacji i leków, niż to, czy lek został naprawdę połknięty i czy pan Kowalski zamiast się rozeprzeć w pierwszej klasie jechał na stojaka w korytarzu, a za zarobione tym sposobem pieniądze kupił jeszcze dwie bułki z szynką.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1985. H-5.